BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

GDY SIĘ MIESZKA W AKADEMIKU...
Bożena Siedlecka str. 7

NASZE DZIECI
Janka Bryl str. 11

IMPRESJE
Henryk Czarnecki str. 6

Szczęśliwego Nowego Orleanu!
Maciej Podgórski str. 12

Fot. C. Łuniewicz

czas. 2552/1976/11

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 30 V 1976 Nr 11 (601) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

BIAŁA PODLASKA • CHEŁM • LUBLIN • ZAMOŚĆ

Bronisław Maksymiuk

Ryszard Patkowski

Mieczysław Białas

Jan Wojnowicz

MYŚLEĆ REALNIE

KULTURA W CZTERECH WOJEWÓDZTWACH

Kolejne spotkanie z cyklu dyskusji redakcyjnych, do których zapraszamy teoretyków i doświadczonych praktyków różnych dziedzin życia społecznego, poświęciliśmy problemom działalności kulturalnej w warunkach czterech sąsiedzkich województw, powstałych, jak wiadomo, rok temu. Sądzimy, że taki dystans czasu umożliwia już sformułowanie pierwszych wniosków, charakteryzujących rzeczywistość kulturalną wspomnianego obszaru, jej siły rozwojowe i momenty hamujące. W dyskusji uczestniczyli dyrektorzy wojewódzkich wydziałów kultury i sztuki: mgr Mieczysław Białas (Lublin), mgr Bronisław Maksymiuk (Biała Podlaska), mgr Ryszard Patkowski (Chełm), mgr Jan Wojnowicz (Zamość). Redakcję reprezentował red. Ireneusz J. Kamiński.

I. J. Kamiński: — Witam serdecznie. Jeśli można, zacznijmy od spraw elementarnych, bo zawsze i wszędzie warunkujących działalność kulturalną. A zatem: co z ludźmi, jak przedstawiają się sprawy kadrowe w nowych województwach?

Bronisław Maksymiuk: — 1 czerwca 1975 roku w placówkach kulturalnych Bialskopodlaskiego pracowały dwie osoby z wyższym wykształceniem podczas gdy liczba samych bibliotek przekracza setkę. Pozyskanie ludzi z innych województw było więc podstawowym zadaniem polityki kadrowej. Nie mieliśmy po prostu innego wyjścia. Udało się, w tej chwili mamy już 12 pracowników po studiach, na ogół specjalistycznych.

I. J. Kamiński: — Biała Podlaska liczy 33 tysiące mieszkańców i nie jest może jeszcze miastem najbardziej atrakcyjnym, co poświadcza taki m. in. fakt, że główne wasze placówki kulturalne gnieżdżą się w prowizorkach. Jakim więc cudem ściągnęliście tych ludzi?

B. Maksymiuk: — Panie redaktorze, nasze województwo posiada dużo uroku... Najważniejsze przecież, że władze bialskopodlaskie na każdym kroku wspomagają kulturę. Jednym z dowodów uchwała egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, która stwierdza, że resort powinien otrzymać 4 — 5 mieszkań rocznie. Takie uzbrojenie urealnia nadzieje na wprowadzenie do miasta nie tylko specjalistów od upowszechniania kultury, ale także artystów. Zależy nam na uformowaniu środowisk twórczych i w tym właśnie celu organizujemy imprezy ogólnopolskie. W ubiegłym roku w stadninie koni w Janowie Podlaskim odbył się pierwszy plener malarski o zasięgu ogólnopolskim, który w wartościowym spadku pozostawił nam trochę obrazów oraz jednego z uczestników, który postanowił osiedlić się w Białej Podlaskiej. Maciej Falkiewicz otrzymał już mieszkanie. Podobną decyzję podjęła absolwentka UMK w Toruniu, graficzka, także biorąca udział w plenerze, która niedługo

Dokończenie na str. 8—9

POLACY W AMERYCE (I)

PIERWSI OSADNICY

Roman Tokarczyk

NAJOGÓLNIEJ mówiąc, większe przemieszczenia ludności, a szczególnie emigracje, wynikają z pragnienia ucieczki od gorszych warunków życiowych ku warunkom pod pewnym względem lepszym. Kiedy niezadowolenie z powodu warunków życia istniejących w kraju ojczystym osiąga swe najwyższe natężenie, a gdzie indziej rysują się lepsze możliwości, bardziej przedsiębiorcze jednostki podejmują często bolesną dla nich i dla ich najbliższych decyzję emigracji. Ten ogólnie znany fakt znajduje potwierdzenie w przypadku emigracji ludności polskiej do Stanów Zjednoczonych Ameryki, podobnie zresztą i do innych krajów. Od czasu odkrycia Ameryki aż do około połowy XVIII wieku emigracja Polaków za Ocean była bardzo nieliczna i sporadyczna. Polskie powstania narodowe zrodziły tzw. emigrację polityczną i religijną, trwającą z przerwami i różnym natężeniem do czasów niemal nam współczesnych. Wreszcie, nędza ludności wiejskiej była zasadniczą przyczyną najliczniejszej chłopskiej emigracji zarobkowej.

Prawie każda grupa etniczna zamieszkująca w Stanach Zjednoczonych chlubi się legendą o swoich przodkach, rzekomo przybyłych na ten kontynent przed odkryciem go przez Krzysztofa Kolumba. Wśród tych legend mają swoje opowieści i Polacy. Jedna z nich traktuje o dzielnych rycerzach polskich, towarzyszących Wikingowi Olafowi w jego trudnej i dalekiej podróży do wybrzeży Nowej Anglii, czyli wschodniego brzegu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wyprawa miała się odbyć bardzo dawno temu, bo prawie 500 lat przed odkryciem Ameryki przez Kolumba. Po wylądowaniu na ziemi amerykańskiej odważni żeglarze zapoznając się z jej przyrodą natrafili na

Dokończenie na str. 4—5

Walka z rakiem

Trzech wybitnych lekarzy francuskich: hematolog Jean Bernard, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny Francois Jacob oraz specjalista w dziedzinie patologii dziecięcej Pierre Royer wypowiedziało się na łamach tygodnika „LE NOUVEL OBSERVATEUR" na temat raka i sposobu zwalczania tej choroby. Sądzimy, że czytelników „Kameny" mogą zainteresować co ciekawsze fragmenty wywiadu.

PYTANIE: — Często mówi się o raku jako o chorobie nowożytności. Przecież istniała ona i wcześniej. Kiedy uznano ją za specyficzną chorobę?

ODPOWIEDŹ: — Już Chińczycy zajmowali się nią trzy-cztery tysiące lat p.n.e. Należy podkreślić, że jest to choroba drugiej połowy życia. Do 1800 roku prognozowana średnia wieku ludzi wynosiła 35—40 lat.

P.: — Czy nie należałoby mówić o wielu rodzajach choroby rakowej, jako że występuje przecież w różnych formach?

O: — Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Komórka rakowa jest taką komórką, która zachowuje się zupełnie odmiennie. Nie znamy jeszcze „języka", jakim „mówią" komórki, jakie nadają sygnały i jak je odbierają. Ale przecież można leczyć niektóre choroby nowotworowe, nie znając przyczyn ich powstania. Tak jest np. ze złośliwą anemią, możliwą do wyleczenia od 1948 roku.

Rak jest chorobą całkowicie odmienną od chorób zakaźnych, czy nawet wirusowych. Ma coś wspólnego z rozwojem embrionu i zróżnicowaniem komórek. Co pewien czas pojawia się anomalia, której przyczyn jeszcze nie znamy i powstaje w ten sposób rak skóry, jelit czy płuc (stanowiący 80 proc. chorób nowotworowych). Np. po skaleczeniu skóra zabliźnia się. Co pewien czas zdarza się jednak coś odbiegającego od normy. Komórka zamiast odbierać sygnały zaczyna działać w swój własny sposób, można powiedzieć anarchiczny. Powstaje wówczas guz.

P.: — Jak wygląda leczenie?

O: — Postęp jest widoczny, ale powolny. W ciągu ostatnich dwudziestu lat z 10 proc. przypadków wyleczenia chorób rakowych doszliśmy do około 33 proc. Mamy wrażenie, że przy zastosowaniu nowych metod leczenia dojdziemy do 40 proc. Trzeba powiedzieć, że ten przeskok z 30 do 40 proc. będzie ściśle związany z postępem badań naukowych w dziedzinie onkologii.

Obecny postęp nie jest związany z nowymi odkryciami, ale z lepszym wykorzystaniem istniejących już lekarstw. Nie chodzi bowiem o odkrywanie nowych środków farmakologicznych, ale o umiejętne wykorzystanie dotychczasowych. Stwierdzono np., że w przypadku leczenia choroby Hodgkina ważne jest branie lekarstw pierwszego i ósmego dnia choroby. Zażycie lekarstwa dziesiątego dnia nic nie daje.

P.: — Niegdyś mówiono, że białaczka jest wiodącą chorobą onkologii. Dlaczego?

O: — Głównie dlatego, że hematolodzy mają zawsze wielką przewagę: mogą pobrać próbkę krwi w dowolnym momencie. Gdyby specjaliści od leczenia wątroby mieli podobne możliwości, zanotowaliby większe postępy. Po drugie, krew jest substancją krążącą. A po trzecie fakt, iż białaczka zaatakowała dzieci, bardzo przyspieszył badania. Dzięki nim można było pogłębić wiedzę o przyczynach powstawania raka. Dziś wiadomo, że wszystkie białaczki zwierzęce są spowodowane wirusem.

P.: — Na niedawnym sympozjum w Lyonie stwierdzono, że 80 proc. zachorowań na raka ma związek ze środowiskiem. Co panowie o tym sądzicie?

O: — Specjaliści są zdania, że „środowisko", a raczej świat zewnętrzny, coraz częściej decyduje o charakterze choroby rakowej, a także o częstotliwości jej pojawiania się. I tak np. w krajach rozwiniętych (USA, Europa) jest więcej przypadków białaczki niż w krajach biednych. Częstotliwość i zróżnicowania guzów są różne w Stanach Zjednoczonych i w Japonii, ale np. Japończycy którzy wyemigrowali do Ameryki, w pierwszym pokoleniu chorują na „japońskie" nowotwory, ale już w drugim pokoleniu zaczynają przejmować guzy „amerykańskie".

P.: Jaki jest związek między postępem w dziedzinie badań podstawowych a organizacją leczenia?

O.: Wraz z postępowaniem terapii można wydzielić trzy etapy. Na początku nic się nie udaje, w drugiej części chory jest poddawany wyczerpującemu i intensywnemu leczeniu, po czym następuje uproszczenie problemu. Widać to wyraźnie na przykładzie gruźlicy.

Badania nad techniką szpitalną powinny stanowić część ogólnych badań medycznych. W pediatrii staramy się coraz bardziej ograniczyć hospitalizację. Dzięki profilaktyce dzieci są coraz zdrowsze, poza bardzo rzadkimi przypadkami białaczki, lub oczywiście wypadkami. Na wyludnianie się szpitali dziecięcych wpływa również wysoki koszt takiego leczenia.

Z drugiej strony, ograniczanie kosztów hospitalizacji narzuca konieczność prowadzenia intensywniejszych badań naukowych oraz sprawniejszy system laboratoryjny. Trudnym problemem jest sprawa pielęgniarek, które po 6 miesiącach pracy rezygnują z niej, gdyż są zbyt zmęczone.

P: Czy stan badań medycznych we Francji jest tak katastrofalny, jak się o tym mówi?

O: Badania medyczne są przedsięwzięciem długoterminowym. Jest godne ubolewania, że środki na ten cel są ustalane w budżecie i każdego roku zależą od koniunktury. Kredyty na badania naukowe we Francji, o ile nie zmniejszyły się, to przestały wyraźnie wzrastać od 1967 roku, co jest bardzo niepokojące. W okresie 1967—68 Francja poświęcała 2,3 proc. swego dochodu narodowego brutto na badania naukowe. Obecnie zeszliśmy do 1,7 proc.

Sytuacja jest mniej groźna w dziedzinie biologii i medycyny ponieważ uzyskaliśmy preferencyjny wzrost funduszy na te sektory. Nas, specjalistów, niepokoi przede wszystkim brak zainteresowania rządu i opinii publicznej. Oczywiście zawałowców interesują przede wszystkim postępy w dziedzinie leczenia chorb naczyniowych, nie nowotworów; ale nie należy zapominać, że badania naukowe stanowią jedną całość. Nie można bowiem prowadzić badań na temat raka i innych — na temat chorób naczyniowych. W rzeczywistości, dokonuje się przecież postępu w badaniach podstawowych dotyczących wszystkich dziedzin, aby następnie wykorzystać tę wiedzę w leczeniu takiej, czy innej choroby.

P: Jaka jest postawa opinii publicznej wobec badań?

O: Od kilku lat obserwujemy brak zainteresowania, jeśli nie wrogość. Co więcej, są ludzie, którzy obciążają badania naukowe odpowiedzialnością za całe zło wynikające z technologii. Gdybyśmy ich słuchali, musielibyśmy uwierzyć, że jedynym ratunkiem jest powrót do natury i do roweru. Ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że to właśnie badania stanowią rozwiązanie wszystkich ich problemów.

Z drugiej strony, są tacy, którzy twierdzą, iż jest zbyt mało tej technologii. Uważają że badania są wówczas korzystne, jeśli są natychmiast rentowne i możliwe do zastosowania. I można im bez końca powtarzać, że najważniejszym aspektem tych badań jest „nieprzewidzialność" ich skutków. Badania naukowe cechują dwa aspekty: pierwszy — krótkoterminowy, o konkretnych do osiągnięciach celach, oraz drugi — polegający na nowym sposobie stawiania problemów. To właśnie radykalnie zmieni nasz sposób myślenia, a jego wyniki są całkowicie niemożliwe do przewidzenia. Gdyby w epoce kamienia nie prowadzono „badań stosowanych", nigdy nie wykryto by brązu. Przypomnijmy, jak doszło do wykrycia promieni X. Nie wykryto ich przecież szukając metody lokalizowania odłamków i pocisków w ciele ludzkim. Wynalazł je ekscentryczny Anglik, J. J. Thomson, który starał się zrozumieć charakter prądu. Skonstruował w szklanym naczyniu, z którego wypompował powietrze, maszynę do wytwarzania pola elektrycznego. Całość zaświeciła zielonkawym i nieco przerażającym światłem. Wówczas nikt nie podejrzewał, że było to jedno z największych odkryć w dziedzinie medycyny.

P: Czy widzicie panowie jakieś niedostatki w organizacji badań we Francji?

O: Tak i to ogromne. Przede wszystkim, brak stanowisk dla młodych, którzy stanowią nasz najcenniejszy kapitał.

Choroba medycyny amerykańskiej

CHORE ciało traktowane jest przez lekarzy amerykańskich jako towar, na którym należy jak najwięcej zarobić. Ostatnio jednak liczni pacjenci biorą odwet: uzyskują za pośrednictwem sądów wysokie odszkodowania od lekarzy, którzy dopuścili się błędów w sztuce medycznej.

Tygodnik „Die Weltwoche", który pisze na ten temat, przypomina przy okazji, że 102 miliony Amerykanów nie dysponuje ubezpieczeniem na wypadek korzystania z pomocy lekarskiej, lecz tylko na wypadek pobytu w szpitalu. Niedostatecznie lub wcale nieubezpieczony przeciętny obywatel ma do wyboru w razie choroby: poświęcić albo swe oszczędności, albo zdrowie.

Jeśli samo towarzystwo medyczne przyznaje, iż 5 proc. spośród ok. 400 tys. lekarzy amerykańskich wykazuje braki w umiejętnościach fachowych, oznacza to, że rocznie 7,5 mln pacjentów znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie udając się z wizytą do lekarza. Komisja badawcza w Michigan ustaliła, że przed operacjami w 42 proc. przypadków zaniedbywano zmierzenia pacjentom ciśnienia krwi, a ok. 1/3 pacjentów miała infekcje, które powinny skłaniać do zaniechania zabiegu chirurgicznego.

Do początków dwudziestego stulecia wniesienie przez pacjenta skargi przeciwko lekarzowi było rzadkością. Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero wtedy, gdy towarzystwa ubezpieczeniowe, wietrząc nowe możliwości zysków, wprowadziły w latach trzydziestych ubezpieczenie od błędów lekarskich. Liczba procesów przeciwko lekarzom zaczęła powoli wzrastać: od kilkudziesięciu doszła do kilkuset na początku lat sześćdziesiątych. Dokładne liczby nie są znane, ponieważ nikt nie przypisywał tym sprawom szczególnego znaczenia.

Nie wiadomo również, dlaczego skargi w związku z niewłaściwym leczeniem stały się nagle epidemią: w ubiegłym roku wniesiono 20 tysięcy skarg i uzyskano odszkodowania na ogólną sumę 250 mln dolarów. Wysokość odszkodowań przyznawanych poszkodowanym przez sądy przysięgłych, wzrosła z 55 tys. dolarów przeciętnie w 1965 r. do ok. 400 tys. dolarów w roku ubiegłym. Najwyższe odszkodowania wypłacane obecnie były jeszcze całkiem niedawno niewyobrażalne: tylko w Kalifornii żądano w dwunastu przypadkach ponad miliona dolarów!

Stuart Duffy upadł na motocyklu, musiał poddać się tylko drobnej operacji żeber, ale podczas przewożenia go z sali operacyjnej rura doprowadzająca powietrze do oddychania została zatkana cieczą. Dostarczanie tlenu zostało przerwane jedynie na kilka minut, ale było to dostatecznie długo, aby spowodować paraliż rąk i nóg. Odszkodowanie — 1 065 000 dolarów.

Gwałtowny wzrost liczby procesów oraz przyznawanych sum spowodował podniesienie składek na ubezpieczenie od błędów lekarskich do wielkości astronomicznych. Podczas gdy lekarze-interniści wpłacają rocznie ok. 500—1000 dolarów, to specjaliści, którym najbardziej grożą procesy sądowe, jak chirurdzy, ortopedzi, anestezjolodzy, płacą 20 tys., a nawet 50 tys. dolarów. Ostatnio towarzystwa ubezpieczeniowe postanowiły wprowadzić ponowną podwyżkę.

Lekarze próbują część tych kosztów przenieść na chorych, ma to jednak swe granice z uwagi na możliwości finansowe pacjentów.

Dr Muchnick, ortopeda dziecięcy, ma praktykę w Los Angeles. Kiedy na początku bieżącego roku płacona przez niego składka ubezpieczeniowa od błędów wzrosła z 6500 do 36 tys. dolarów, postanowił zamknąć praktykę i podjąć pracę w szpitalu. Jego żona mówi: „Chodziło nie tylko o pieniądze, lecz również o atmosferę psychiczną. Nie był on już zdolny bez napięcia operować pacjentów. Zawsze istnieje choćby mała możliwość, że coś się nie uda. Odczuwał strach. Sytuacja stała się nienormalna: w każdym pacjencie, który do niego przychodził, wietrzył przyszłe niebezpieczeństwo."

Problem ma wiele aspektów. Chore ciało stało się towarem, który ma przynieść zainteresowanym wiele pieniędzy. Jest ono towarem i dla adwokatów, którzy walczą o wykazanie faktycznego lub rzekomego błędu lekarskiego, i dla samych pacjentów, którzy próbują własne nieszczęście przemienić w profit: dziewięciu spośród dziesięciu skarżących się, nie wzbudza zainteresowania sprytnych adwokatów, gdyż zamiar oszustwa był zbyt wyraźny. Innymi słowy „towar" nie został uszkodzony, lecz był już wcześniej zepsuty.

Winę ponosi — kończy tygodnik — stechnizowana, nadmiernie wyspecjalizowana medycyna, w której tradycyjne stosunki lekarza z pacjentem uległy dehumanizacji. Zastąpiono je stosunkami typowymi dla nabywców i sprzedawców. Winę ponosi również polityka społeczna. Fred J. Hiestand, członek specjalnej komisji powołanej w Kalifornii do spraw błędów lekarskich, mówi: „Jeżeli państwo nie wprowadzi drastycznych ustaw, drożejące na wolnym rynku służby zdrowia koszty składek od błędów w sztuce doprowadzą do bankructwa lekarzy oraz uniemożliwią opiekę nad chorymi."

ZACZĘŁO się skromnie od imprezy o nazwie Festiwal Małych Form Instrumentalno-Wokalnych, którą zaraz potem przechrzczono na Nałęczowskie Divertimento. To ostatnie słowo pochodzi z języka francuskiego, a oznacza pogodny, niemal wesoły utwór muzyczny, wykonywany przez grupę instrumentów. Ten pogodny, nastrojowy charakter muzyki potrzebny jest bardzo nie tylko nałęczowskim kuracjuszom, ale chyba każdemu z nas, zmęczonemu już nieco współczesną cywilizacją.

Kamena str. 2

A WIĘC DO NAŁĘCZOWA

Właśnie zaczęło się V Nałęczowskie Divertimento, jest więc mały jubileusz imprezy, która z lokalnej bardzo szybko przekształciła się w ogólnopolską, a jeżeli chodzi o część wykonawców, to nawet międzynarodową.

Właśnie dzisiaj w czwartek 27 maja, gdy ten numer „Kameny" pojawi się w kioskach, grać będzie nasza znakomita pianistka Regina Smendzianka, a narrację prowadzić popularna na Lubelszczyźnie Janina Berezowska. W programie Mozart, Schuman, Chopin i Debussy.

W piątek utwory Brahmsa zaprezentują: Barbara Dzikowska (mezzosopran), Stefan Kamasa (altówka) i Maciej Paderewski (fortepian). W sobotę 29 maja wieczór muzyczno-poetycki — śpiewa Alicja Marczak-Faberowa, na fortepianie gra Maria Korecka-Soczkowska, a wiersze recytuje Zofia Rysiówna. W niedzielnym, ostatnim koncercie, wystąpi pianista angielski Gwenneth Pryor, a wiersze liryczne będzie recytował Daniel Olbrychski. Koncerty odbywają się w pałacu Małachowskich, początek o godz. 16.

Wszystkim organizatorom, a przede wszystkim upartej i konsekwentnej w propagowaniu dobrej muzyki w pierwszorzędnym wykonaniu Filharmonii Lubelskiej należą się słowa uznania. Robi to zresztą codziennie publiczność, wypełniająca do granic możliwości także miejsca stojące w pięknej, ale niezbyt dużej sali.

Tegoroczne Divertimento odbywa się w ramach Dni Nałęczowa, organizowanych już po raz dziewiąty, stanowiąc najbardziej wartościowy element tych Dni.

(d)

...I jak tu odpoczywać?

Jerzy Dostatni

OSOBIŚCIE nie rozumiem, jak można wypoczywać nad Zalewem Zemborzyckim, wdychając opary obficie tu serwowanego piwa, przesycone w dodatku zapachem smażonych na oleju ryb.

Widocznie jednak Zalew był potrzebny, skoro w każdą niedzielę i wolną sobotę tłoczy się tam kilkanaście, a w każde inne popołudnie kilka tysięcy ludzi. W pobliżu Lublina nie ma, niestety, innego miejsca jako tako przystosowanego do tzw. rekreacji. Jest wprawdzie tuż za Niemcami ładny i większy niż w Zemborzycach las, ostatnio urządzono w nim nawet cztery czy pięć prowizorycznych parkingów i zlikwidowano zaporę po lewej (patrząc od Lublina) stronie — ale miejsce to nie zostało jeszcze uznane oficjalnie za teren, nadający się do rekreacji dla ludzi, którym wystarcza aromatyczny las bez możliwości utopienia się. Chociaż nie przesadzajmy — przy torze kolejowym leniwie płynie jakiś strumyczek...

Wracajmy jednak do Zemborzyc. W budowę zalewu włożono wiele milionów złotych państwowych, miejskich i w formie czynów społecznych. Wszystko po to, aby mieszczuchom z trzystutysięcznego miasta dać możliwość odpoczynku i zabawy. Skąd więc moje narzekania? A no stąd, że — jak nam się to zbyt często zdarza — porywa nas słomiany ogień. Snujemy wielkie plany, zaczynamy z impetem, ale potem tempo systematycznie słabnie i wreszcie mamy coś, co niby jest, a co jednak nie spełnia funkcji, jaką spełniać powinno.

O stworzenie w Zemborzycach zalewu mgr Kazimierz Bryński walczył już przed kilkunastu laty, sam zalew istnieje od dwóch lat. Było przynajmniej dziesięć lat czasu i specjaliści różnych branż byli w stanie się pokłócić i pogodzić, to znaczy wziąć pod uwagę różne możliwości i życzenia, aby opracować plan zagospodarowania terenu wokół zalewu. I o paradoksie: jest kilka wersji planu, ale do dnia dzisiejszego nie istnieje ten ostateczny, oficjalnie zatwierdzony, który pewnych rzeczy zakazuje, a inne nakazuje. Wydaje się więc decyzje, które — niezależnie od oficjalnej nomenklatury i szczebla, na jakim je wydano — w świetle prawa są decyzjami tymczasowymi. Zresztą niektórych decyzji nie wydaje się w ogóle, jak np. na budowę restauracji i kawiarni na brzegu Malina. Dla odmiany sporządza się dokumentację na budowę boisk do siatkówki i koszykówki z nawierzchnią z gruzu ceglanego. Skąd wziąć ten gruz na budowę nawierzchni o wymiarach 45×90 metrów — i potem na jej konserwację? Kto zechce grać w piłkę, jeżeli po każdym ruszeniu nogi będzie musiał łyknąć kilka gramów tego ceglanego kurzu?

Ośrodek A, zwany nie tylko przez złośliwców lubelską Rivierą, miał być gotowy w roku 1974, ale nie jest do dzisiaj. Wyznaczano potem kilka dalszych terminów, ale żaden nie został dotrzymany. Tor regatowy niby istnieje, nawet urządzono na nim coś w rodzaju regat, ale to wciąż prowizorka. Przystań dla jednostek pływających — kajaków, łodzi, żaglówek, rowerów wodnych — już dzisiaj jest dziesięć razy za mała. Ponad czterysta tych „jednostek" musiało ostatnią zimę spędzić na wolnym powietrzu, co nawet dla tych, które są zbudowane z plastyku, nie okazało się obojętne. Warto przy okazji ujawnić, że z 140 kajaków, które można było wynajmować, na koniec sezonu żaden już nie nadawał się do użytku. Wstyd, że nie nauczyliśmy się cenić wspólnego dobra — dotyczy to tych, którzy wynajmując owe kajaki, jednocześnie dosyć gruntownie je niszczyli. Z łodziami też nie było lepiej. Wynajmujący je rybacy z reguły odcinali cumy — jedno- czy dwumetrowe sznury — do których potem przyczepiali kamienie, tworząc sobie w ten sposób zastępcze kotwice, chociaż na początku każda łódź miała kotwicę oryginalną.

Jeżeli chodzi o cennik za wypożyczenie łodzi czy rowerów wodnych, to chyba zaszło tu nieporozumienie. Otóż zgodnie z obowiązującymi przepisami za wypożyczanie sprzętu sportowego do celów niesportowych trzeba płacić dość duży dodatek na fundusz olimpijski. I słusznie. Ale wojewódzkie władze sportowe doszły do wniosku, że te łodzie i rowery pływające po Zalewie Zemborzyckim są sprzętem sportowym, a nie rekreacyjnym, i nakazały pobieranie tego dodatku. Przenosząc sprawę na szerszą płaszczyznę: jeżeli Zalew Zemborzycki jest obiektem sportowym, to kochany Totalizator Sportowy, chociaż nie zdążył dać niczego na budowę, powinien uczestniczyć w kosztach dalszego urządzania zalewu czy w jego eksploatacji. Albo-albo.

Jeżeli już o pieniądzach mowa, to warto zająć się jeszcze inną sprawą. W roku ubiegłym władze miejskie Lublina wysupłały z niezbyt przecież zasobnej kasy dotację w wysokości czterech milionów złotych, za co należy się duża pochwała. Dyrektor „Bystrzycy", gospodarz zalewu, twierdzi, że gdyby całość wykończyć i ogrodzić, za wejście na teren Maliny i Riviery można by pobierać opłaty — co byłoby rzeczą słuszną przy pełnym zagospodarowaniu — zmniejszając dotację przynajmniej o połowę. (Co na to główny księgowy Urzędu Miejskiego w Lublinie?).

Co się stało, nieprędko się odstanie, bo wiadomo, że u nas prowizorki należą do najbardziej trwałych obiektów. Myślę jednak, że zamiast rozbudowywać bazę gastronomiczno-rozrywkową w Dąbrowie, należy ją zlikwidować. Zbudowano ją — kawiarnię, bar, smażalnię ryb, na dodatek wypożyczalnię i biura — w pięknym lesie, zamiast na jego pobrzeżu. Co stanie się z tymi pięknymi sosnami za lat kilka, sosnami podlewanymi resztkami piwa i wódki, owiewanymi zapachami z baru i smażalni, okadzanymi tysiącami papierosów na godzinę, obrzucanymi wokół zbitymi szklankami i butelkami, puszkami, skorupkami od jajek i resztkami wszelkiego innego jadła? Wygląda na to, że za lat pięć czy osiem Miejski Komitet Czynów Społecznych będzie nas wzywał do sadzenia na tym miejscu nowych sosen.

Tyle o Zalewie Zemborzyckim, a właściwie sprawach, dziejących się — lub nie dziejących — wokół niego.

Kilka dni później pojechałem nad jezioro Białe drugi „reprezentacyjny" punkt masowej rekreacji na Lubelszczyźnie. Jezioro i pobliska Okuninka znajdują się teraz w województwie chełmskim. Oznacza to, że chełmianie będą tam odtąd częstszymi gośćmi niż dotychczas, a jednocześnie nic nie przeszkadza lubliniakom, aby tam nadal wyjeżdżali. W sumie będzie więcej ludzi niż dotychczas.

I na początku znowu zaskoczenie. Ośrodek nad jeziorem Białym istnieje od wielu lat, na jego temat zapisano już dziesiątki, może setki kilogramów papieru. A tymczasem dyrektor Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie, mgr inż. Stanisław Stecko, powiada:

— Nie bez zdziwienia stwierdziliśmy, że ośrodek ten nie posiada dotychczas zatwierdzonego planu zagospodarowania przestrzennego. Było szereg koncepcji i — co gorsze — według nich różne instancje administracyjne wydawały dziwne nieraz lokalizacje. Ostatnio stwierdziliśmy, że ponadto są tam 34 nielegalnie zbudowane obiekty.

— Czytałem właśnie ogłoszenie, że chełmskie Biuro Planowania Przestrzennego przystąpiło do opracowania planu zagospodarowania przestrzennego Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego w granicach waszego województwa. Jaka jest podstawowa koncepcja?

— Przede wszystkim chodzi nam o to, aby zlikwidować tzw. psie budki i by przynajmniej połowa obiektów mogła być użytkowana przez cały rok, zarówno pod postacią wczasów — i tu myślimy o zorganizowaniu ośrodka sportów zimowych — jak i pomieszczeń na szkolenia, których to pomieszczeń w Chełmie nie mamy w ogóle, a w Lublinie też jest ich bardzo mało. Dalej: do wszystkich obiektów chcemy doprowadzić instalacje wodociągowe i kanalizacyjne, a także wybudować jedną kotłownię zamiast lasu dymiących dziś kominów, wszędzie zainstalować kuchenki elektryczne. Nowa zabudowa powinna powstawać nie bliżej niż 150 m od brzegu jeziora, obecną obwodnicę chcemy przeznaczyć tylko na ciąg spacerowy, budując nową mniej więcej kilometr od brzegu. Na naradzie przedsiębiorstw komunalnych już postanowiliśmy w okresie letnim skierować tam dużo sprzętu asenizacyjnego. Utworzyliśmy własne laboratorium, które niezależnie od Sanepidu będzie często kontrolowało czystość wody w jeziorze. Opracowanie planu zagospodarowania zleciliśmy Instytutowi Turystyki w Warszawie i mamy nadzieję, że plan ten w końcu roku będzie gotowy.

Tak więc zanosi się na generalne porządki nad jeziorem Białym. Miejmy nadzieję, że władze chełmskie będą w tej dziedzinie bardziej konsekwentne niż lubelskie. Dzisiaj jednak nad jeziorem nie jest dobrze. Są pierwsze dni maja, a tylko w niektórych ośrodkach coś się dzieje, to znaczy naprawia uszkodzenia, maluje, w jednym miejscu kładzie wodociąg. W ośrodku Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych Budownictwa tylko część domków jest odświeżona. Kilkadziesiąt jednostek sprzętu pływającego leży na stercie — wprawdzie pod dachem, ale bez ścian bocznych. W rezultacie stan tego sprzętu jest mizerny i nikt nie zabiera się do jego naprawy. W ośrodku Agrometu-LFMR jest trzech robotników, ale nudzą się potwornie w oczekiwaniu na jakiś iluzoryczny samochód.

Lubelskie Huty Szkła miały kolonię małych domków po zewnętrznej stronie obwodnicy. Przed trzema laty rozpoczęły budowę obiektu stałego, murowanego, na 120 miejsc. Błędna lokalizacja wcisnęła ten ładny i pięknie już urządzony budynek pomiędzy dwa inne ośrodki tuż nad samym brzegiem jeziora. Na wolnym od strony wody placyku, który ma udawać plażę, można ustawić najwyżej 30 leżaków, na jakiś trawniczek, klomb z kwiatami czy mini-boisko miejsca już brak. A gdzie ma się podziać reszta wczasowiczów — jeżeli podobnie jest u sąsiadów z obu stron? Takich wtłoczonych na małe skrawki terenu ośrodków znacznie tu więcej, w dodatku znakomita większość to malutkie, prymitywnie urządzone domeczki, w których poza dwoma łóżkami i jednym krzesłem nic już ustawić nie można.

Fot. A. Polakowski

Kiedy tak chodzimy wokół jeziora z inspektorem chełmskiej WRZZ i patrzymy, jak tu się coś robi, tam grzebie, a jeszcze gdzie indziej ludzie się opalają zamiast wykonywać swoją pracę, bo albo tej pracy nie lubią, albo czekają na narzędzia lub materiały — przychodzi nam do głowy bardzo zdrożna myśl. Ta mianowicie, że warto by utworzyć jakąś wspólną administrację całego ośrodka nad jeziorem, jakieś wspólne ekipy remontowe pod jednym zarządem — przynajmniej na okres wiosenny. Korzyści widoczne pod postacią znacznie szybszych porządków i remontów, a także znacznie tańszych. Tylko który dyrektor, która rada zakładowa zgodzi się na taki pomysł?

Kilka dni później byłem w Białej Podlaskiej. W „Sztandarze Ludu" ukazał się właśnie wywiad z prezydentem tego miasta. Obok wielu słusznych i dobrze rozwiązywanych spraw, znalazło się i takie stwierdzenie: „Obecnie budować będziemy ośrodek rekreacyjny nad Krzną". Ośrodek taki jest Białej Podlaskiej niewątpliwie bardzo potrzebny. Szkopuł tylko w tym, że Krzna jest już nie rzeką, ale ściekiem brudów i to tak zagęszczonym, że czerpiąca z Krzny wodę „Biawena" musiała już kilkakrotnie przerywać produkcję. Było na ten temat kilka ostrych artykułów w prasie warszawskiej, m. in. w „Życiu Warszawy". Chyba więc najpierw trzeba znacznie zwiększyć oczyszczalnię ścieków w łukowskich Zakładach Mięsnych i własnej mleczarni — co potrwać musi kilka lat, a dopiero potem przystąpić do budowy ośrodka rekreacyjnego. I od początku stawiać obiekty trwałe. Inaczej szkoda pieniędzy i pracy!

Kamena str. 3

Krzysztof Paczuski

SONETNICA NA BOCZKU

ów
szaropióry poeta
zniósł był ponownie
dwa piegowate
szczerogliniane sonety
o miłości

oczekując aż je druk
zetnie na twardo a
nakład rozleje po
błyszczącej od tłuszczu
patelni czaszek
niepoprawny rozmyślą
nad założeniem nowoczesnej
wylęgarni uczuć

nie wiemy z jakim oddźwiękiem
spotka się w społeczeństwie ta
podjęta na boczku
śmiała inicjatywa

jedno wszelako jest pewne
już dzisiaj
że bardowie współcześni dość
słabo się niosą

Janusz Olczak

ŻONA

Kiedy się ożeniłem
okazało się że w moją żonę
wstąpił anioł
mój anioł stróż

był już na tyle dojrzały
że zdecydował się odsłonić
tajemnice swej płci
to zresztą było jedyne
co miał w sobie z szatana

kiedy się ożeniłem
okazało się że mam anioła
na dobre i złe

„DERSU UZAŁA", „SZCZĘKI", „DOM"...

FILMY WIELKIE I MIAŁKIE

Wojciech Roszewski

ZACZĘŁO się wszystko od małej stacyjki we wszechwładnej tajdze Kraju Ussuryjskiego. Od dwóch ściętych drzew, cedru i jodły, przy których Rosjanin, kapitan Arseniew chciał bezskutecznie odszukać grób swojego przyjaciela, Tunguza Dersu Uzała. Od ukazanej z lotu ptaka panoramy sosnowego lasu, w którego wnętrzu buszowali już ludzie z toporami, wznoszący drewniane domy...

Sąsiad po prawicy — mały, szczupły, ruchliwy — przybiegł do kina z teczką wypchaną papierami, chyba wprost z biura. Sąsiedzi po lewicy — pospolita para młodych ludzi. Ja przyjechałem tutaj kolejką elektryczną, tym osobliwym żółto-niebieskim wehikułem, który co kilka minut wypluwa z siebie gromady zmęczonych i pośpiesznie przebierających nogami ludzi. Zwykłych, jak zwykłe jest nasze otoczenie, poczynając od szarych bloków nowych osiedli.

„Dersu Uzała" Akiro Kurosawy, jak gdyby na przekór tej wszechobecnej zwykłości, ujawnia świat zupełnie inny — fenomen tajgi, groźnej w swojej pogodzie i pogodnej w grozie. Życie, jakie znamy z naszego codziennego doświadczenia, jest rozwlekłe, rozlazłe, źle udramatyzowane, ważne miesza się w nim z błahym. Sztuka kierując swoje bystre oczy na to życie, intensyfikuje je, wydobywa momenty najwyższych uniesień i przełomów, sprawia, że zyskuje ono nagle swoje punkty ciężkości. Oto obojętna dotąd na ludzki los, spokojna tajga kieruje swój ślepy impet przeciwko kapitanowi Arseniewowi i Dersu. Scena nocy na zamarzniętym jeziorze. Tajga wysyła w bój przeciwko ludziom wiatr, zawieję, przeraźliwy ziąb. Dersu walczy z nią zrywając naręcza trawy, budując z pomocą teodolitu, dwóch karabinów, sznurów i kilku płacht prymitywny szałas. Coś podobnego nie może przydarzyć się nam, widzom, spędzającym swój czas w biurach, kawiarniach i w elektrycznych kolejkach. A jednak chłoniemy tę iluzję jako coś własnego.

Innego dnia, niezbyt udany, nakręcony w poważnej mierze w plenerach Trójmiasta „Skazany" Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego, nakaże patrzeć nam na miasto oczami kamery. Jeszcze później będziemy sobie zadawali pytanie, czy „Adopcja" Márty Mészáros mogłaby wydarzyć się u nas? Czy zasiadają na sali ludzie tak głęboko odrażający, jak bohaterowie „Dupont Lajoie" Ivesa Boissieta? Do jakiej rzeczywistości można właściwie przymierzyć dziwne sny Kaspara Hausera w „Każdy dla siebie i Bóg przeciw wszystkim" Wernera Herzoga? O, świat „Premii" Siergieja Mikaeljana jest nam doskonale znany! Tylko dlaczego nie przedstawiliśmy go sobie my sami, lecz radziecki reżyser? O co chodzi w „Zawodzie — reporter" Michelangelo Antonioniego? Czemu „Szczęki", ten gigantyczny, poliuretanowo-podwodny żart Stevena Spielberga jednak od czasu do czasu nami wstrząsają? Co sprawia, iż dość solidarnie wychodzimy z „Lotty w Weimarze" Egona Günthera, chociaż źródłem tego filmu jest znana powieść Tomasza Manna? Co jest realne, a co zmyślone w „Widmie wolności" Luisa Bunuela? Czy możliwe jest, że stabilizujący się w zupełnie swoisty sposób Michael Corleone z drugiej części „Ojca chrzestnego" Francisa Forda Coppoli zostanie kiedyś gubernatorem? Czemu „Partita na instrument drewniany" Janusza Zaorskiego jest taka ciemna, mglista i niewyraźna?

Naiwność tych pytań, jakie stawiamy sobie w natłoku filmów, zaświadcza nie o płytkości, lecz o sile tej sztuki. Jest ona wielkim oknem nie tyle na świat, który jest, lecz który mógłby być. Realistycznym, bo przecież posługującym się fonofotograficznym odwzorowaniem, eksperymentem. Kreacją, w której obrębie sztuczna i arealna może być tylko całość — nigdy zaś jej poszczególne elementy. Jeśli nawet tak jak „Szczęki" S. Spielberga, film nas oszukuje, to po to, by wzbudzić w nas prawdziwe emocje. Jeśli z kolei film pragnie, tak jak „Adopcja" M. Mészáros, przekazywać nam tylko czarno-białą prawdę, to po to, by zidentyfikować w nas to, co jest fałszywe i bezduszne. Urzędnik, para młodych ludzi, ja sam wreszcie oglądając dzień po dniu gromadę filmów, nie jesteśmy w stanie zaprowadzić wśród nich ostrych podziałów na dobre i złe, prawdziwe i zmyślone, mądre i głupie. To, co je łączy z sobą, zdaje się być silniejsze od tego, co dzieli. Patrząc w ekran nie jesteśmy przecież krytykami. Stajemy się nimi dopiero później. Zapalając papierosa na ulicy, wsiadając do elektrycznej kolejki, opowiadając zaciekawionym znajomym to, co zobaczyliśmy. Z każdego filmu zostaje w nas coś, co przyjmujemy z całym dobrodziejstwem inwentarza i coś, przed czym się wzdragamy.

Film wielki, jak „Dersu Uzała" A. Kurosawy, i film miałki, jak jugosłowiański „Dom" Bogdana Žižica, posiadają pewien obszar wspólny, a jest nim przy wszystkich dzielących te obrazy różnicach, wiarygodność świata przedstawionego nam przez kamerę. To poczucie wiarygodności niekoniecznie musi dotyczyć całości filmu. Wystarczy, gdy ogniskuje się ono wokół kilku jego elementów. Coś, co nazywamy prawdą filmu, może nam być dane nawet w skrawkach. Całość może nawet jak mówią, nie trzymać się kupy, a owe strzępy tak czy owak nas poruszą.

Znajduje to swój empiryczny niejako wyraz w strzępkach rozmów, jakich można posłuchać na ulicy tuż po zakończeniu spektaklu. Ogniskując się nie na całościach, lecz na elementach, potrafią one na krótki moment równać arcydzieła z kiczami.

— Jak to się stało, że w „Dersu Uzała" kapitan Arseniew dostrzegł na płótnie namiotu cień tygrysa, który był tylko tworem wyobraźni starego myśliwego?

— U nas też są tacy, którzy — ta uwaga dotyczy bułgarskiego „Wieśniaka na rowerze" Ludmiła Kirkowa — chętnie trzymaliby bydło na nowych osiedlach.

— Ta Mary Schneider wcale nie jest pociągająca. Zupełnie nie rozumiem jak ona mogła zagrać tę rolę w „Ostatnim tangu w Paryżu".

— U nas za okupacji — to o francuskiej „Sekcji specjalnej" Costy-Gavrasa — też były takie sądy. Tylko Polaków w nich nie było.

— Arcyśmieszna w tym „Widmie wolności" Luisa Bunuela była scena z sedesami.

Są to uwagi proste, jeśli nawet nie prostackie. Biorą się z fascynacji czy zaciekawienia szczegółem. Łatwo je zbagatelizować, stwierdzając, iż wypowiadający je ludzie nie mają po prostu kompetencji, by odróżnić to, co w filmie dobre, od tego, co w nim złe. Każde takie zestawienie zderza ze sobą nie tylko różne filmy, ale także i różne typy reagowania na nie. Można by oczywiście ubolewać, że w wyniku tego rodzaju konfrontacji „Dersu Uzała" coś traci, a „Szczęki" coś zyskują, gdyby nie fakt, że to banalne na pierw

PIERWSI OSADNICY

Dokończenie ze str. 1

dziko rosnące winogrona. Rozpoznał je polski rycerz i przekonał współuczestników wyprawy o ich wysokich wartościach użytkowych.

Znacznie bardziej rozpowszechniona jest legenda o Janie z Kolna. Żeglarz ten miał dopłynąć do Ameryki na 16 lat przed Kolumbem, ale znękany trudami wyczerpującej podróży zmarł w drodze powrotnej do kraju. Legenda o Janie z Kolna opowiadana jest do dzisiaj w wielu amerykańskich szkołach polonijnych. Dla użytku szkolnego przystosował ją, jeszcze na początku naszego wieku, Mieczysław Haiman, zasłużony działacz i historyk Polonii amerykańskiej. Ale sama postać Jana z Kolna nie jest wymysłem Haimana. Pisał o niej Stefan Żeromski w noweli „Wiatr od morza", Deotyma w powieści „Panienka z okienka", zaś Jan Matejko namalował wyobrażony obraz dzielnego żeglarza. Ulice wielu polskich miast, jak również miast i osad zamieszkałych przez Polaków w Stanach Zjednoczonych, otrzymały imię Jana z Kolna. Historycy jednak, aczkolwiek po wielu sporach, wkładają tę legendę między bajki, ponieważ brak wystarczających dowodów na poparcie jej prawdziwości.

Najstarsze zachowane przekazy historyczne na temat początków osadnictwa polskiego w Ameryce prowadzą do niewielkiej kolonii w Jamestown, położonej w stanie Wirginia. Kolonię założyli Anglicy na początku XVII wieku. 1 października 1608 r. na statku „Mary and Margaret" przybyła grupa pięciu Polaków, zwerbowana przez słynnego angielskiego podróżnika i kolonizatora Johna Smitha. Byli oni zdolnymi rzemieślnikami w zakresie wyrobu szkła, mydła, smoły i dziegciu — artykułów eksportowanych wówczas z Polski do Anglii. Do grupy należeli: Michał Łowicki, szlachcic przewodzący grupie, Zbigniew Stefański z Włocławka, Jan Mata z Krakowa, Jan Bogdan z Kołomyi i Stanisław Sadowski z Radomia.

Wkrótce po przybyciu do Jamestown polscy osadnicy uruchomili hutę szkła oraz urządzenia do wytwarzania mydła i smoły. Zyskali przez to zaszczytną nazwę pionierów amerykańskiego przemysłu. Cieszyli się uznaniem jako zręczni rzemieślnicy i nauczyciele rzemiosł. W 1619 roku, gdy w osadzie mieszkało już około 50 Polaków, władze kolonii obwieściły wybory do organów prawodawczych, odmawiając jednak osadnikom polskim prawa do głosowania. Oburzeni rzemieślnicy przerwali solidarnie pracę do czasu uzyskania wszystkich praw przysługujących pozostałym członkom kolonii. Ta postawa, zmuszająca władze do ustępstwa, przyniosła im rozgłos jako autorom pierwszego w historii Ameryki strajku politycznego, uwieńczonego pełnym powodzeniem.

W 1968 r. potomkowie polskich osadników obchodzili w Jamestown uroczystość 369 rocznicy lądowania polskich emigrantów na ziemi amerykańskiej.

Od początku drugiej połowy XVII w. zaczęli osiadać w kolonii holenderskiej w Ameryce polscy różnowiercy. Byli to zwłaszcza arianie, którzy skazani zostali na banicję za wspieranie Szwedów w okresie „potopu". Korzystając z panujących w kolonii wolności, założyli działającą do dzisiaj, znaną i szanowaną gminę wyznaniową unitarian, szerzącą humanitarne idee teologiczne i filozoficzne. Do najwybitniejszych z tej grupy przybyszów należeli: Aleksander Karol Kurczewski, Olbracht Zaborowski i Jakub Fabritius — pastor z Głogowa na Śląsku.

Aleksander K. Kurczewski, znany w Ameryce pod nazwiskiem Curtius, był nauczycielem na dworze magnata litewskiego, a nadto trudnił się praktyką lekarską. W 1659 roku po przybyciu do Ameryki otworzył w Nowym Amsterdamie szkołę licealną, sprawował w niej obowiązki rektora, nauczał łaciny oraz zorganizował tam ogród i herbarium, pomocne przy uprawianiu praktyki lekarskiej. W ten sposób położył poważne zasługi na polu organizacji amerykańskiego szkolnictwa i uznawany jest za twórcę drugiej po kolegium w Harvardzie szkoły łacińskiej na obszarze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Znaczną sławę zyskał ród Zaborowskich znanych dzisiaj pod zamerykanizowanym nazwiskiem Zabriskie. Pierwsi Zaborowscy, domniemani protoplaści ściętego za panowania króla Stefana Batorego Samuela Zborowskiego, przybyli do Ameryki w 1662 r. Ich potomek, Marcin Zaborowski, adwokat spekulujący nieruchomościami, dorobił się pokaźnej fortuny, którą pomnożył jego syn Wiliam Elliot. Obecnie ród Zaborowskich posiada olbrzymi majątek i jest powiązany z rodami największych bogaczy amerykańskich, zwłaszcza nowojorskich.

Do pierwszych polskich osadników i mieszkańców Nowego Amsterdamu na-

Kamena str. 4

szy rzut oka zjawisko ukazuje nam jedną z najbardziej kapitalnych zagadek odbioru, jaką jest fakt, iż statystyczny zmysł szeregowego odbiorcy porusza się często poza takimi istotnymi sprawami, jak ideologia, waga problemowa, estetyka. Zmysł ten potrafi przemienić tak poważny film jak „Widmo wolności" L. Bunuela z zwykłą komedyjkę, ludyczne „Szczęki" S. Spielberga w dramat, sprawną maszynerię „Ojca chrzestnego" F. F. Coppoli we wzniosłą, godną niemal Szekspira tragedię. Zmysł ten ceni sobie to, co realistyczne, pod warunkiem, że jak w „Premii" S. Mikaeljana jest to nieodległe od jego własnych problemów, ale także potrafi wierzyć w realność tego, co, jak „Szczęki", posiada tylko pozor realności.

Nieznane, szokujące, tajemnicze i oryginalne zmysł ten za wszelką cenę chce sprowadzić do znanego, zrozumiałego, odartego z zagadkowości i wyjaśnialnego na gruncie prostych faktów. Ta, jeśli można ją tak określić, postawa zmysłu przeciętnego nie pozwala mu oczywiście uchwycić wszystkich sensów dzieła sztuki, jakim jest każdy dobry film, w zamian za to umożliwia fascynowanie się również filmami złymi, pod warunkiem — i to jest chyba poprawka, jaką wniosły ostatnie lata — że nie będą one nudne. Widz dzisiejszy zniesie w filmie niemal wszystko oprócz monotonii. Może nie rozumieć obrazu, ale musi on go frapować. Mój urzędnik, człowiek jak wynikało z wielu oznak bardzo cierpliwy, zniósł „Każdego dla siebie i Boga przeciw wszystkim" W. Herzoga, chociaż pod wieloma względami był to film bardzo hermetyczny ale wyszedł w połowie seansu, a wraz z nim wielu innych widzów, z prostej, lecz statycznej i zupełnie afilmowej „Lotty w Weimarze" E. Günthera. „Skazany" A. Trzosa-Rastawieckiego dobrze trzymał w napięciu widownię, zaś osobliwego końca „Partity na instrument drewniany" J. Zaorskiego doczekała raptem połowa sali.

Reakcje te dowodzą, iż najbardziej nawet wysublimowane pretensje artystyczne dzisiejszego filmu prowadzą do fiaska u publiczności, jeśli nie zostaną wsparte już to realnością, już to tempem, już to ostrymi zderzeniami sytuacyjnymi. Realizując filmy można oczywiście w imię racji artystycznych przejść do porządku dziennego nad tym zjawiskiem z pogranicza odbioru dzieł sztuki, gdyby nie fakt, iż wielu reżyserów i scenarzystów dowiodło, iż możliwe jest upieczenie dwóch pieczeni przy jednym ogniu, że wcale nie musi być tak, żeby wartość artystyczna filmu kolidowała z napięciami, jakie budzi on na widowni. Film, jak każde dzieło sztuki wzmaga intensywność naszych przeżyć. Od filmu oczekujemy, żeby ukazał nam nasze własne życie w otoczce nie tyle pretensjonalnej, co dotykalnej niezwykłości. Niezwykłość ta może oczywiście przybrać tak naturalny charakter jak w „Dersu Uzała", tak ezoteryczny jak w „Każdy dla siebie i Bóg przeciw wszystkim", tak ludyczny jak w „Szczękach", tak oczywisty jak w „Premii" czy „Adopcji", ale musi być. Świat współczesnego filmu jest państwem stanu wyjątkowego. Sytuację tę można było oczywiście przewidzieć, biorąc pod uwagę fakt, iż od filmu oczekiwaliśmy zawsze i oczekujemy w dalszym ciągu, iż będzie on projekcją naszych zwykłych problemów, ukazanych w świetle niezwykłym.

Film artystowski — jak „Partita na instrument drewniany", „Lotta w Weimarze" czy nawet „Portret rodziny we wnętrzu" — w tych warunkach, ponad głowami zobojętniałej widowni, podaje sobie rękę z filmem złym — jak „Wieśniak na rowerze" „Sekcja specjalna", „Dom". Film prosty — jak „Dersu Uzała", „Adopcja", „Premia" — dla odmiany ponad głowami podnieconej widowni podaje sobie rękę z filmem wyrafinowanym — jak „Każdy dla siebie i Bóg przeciw wszystkim", „Zawód — reporter", „Widmo wolności". Przed trybunałem dzisiejszej widowni pretensjonalni artyści kina plasują się mniej więcej na tej samej pozycji, co niepoprawni fuszerzy, zaś artyści naturalni na tym samym miejscu, co wyrafinowani. Ta reakcja, która wielu wyda się może zdrożna, jest jednak najbardziej prawidłowa. Musiał w dziejach kina nadejść moment odwrócenia się zarówno od pretensjonalności, jak i fuszerki, bądź w stronę naturalności i prostoty, bądź w kierunku rafinady.

Zaczęło się od małej stacyjki we wszechwładnej tajdze, skończyło na płonącej szubienicy w bliżej nieokreślonym, pogrążonym w mrokach okupacji polskim miasteczku. Z „Dersu Uzała" nie wyszedł przed czasem nikt, zaś z „Partity na instrument drewniany" połowa sali z okładem. Filmy polskie dowiodły, że — w porównaniu z czasami świetności — tracimy dystans z czołówką światową. Gdybym miał te filmy uszeregować podług ich wartości, dałbym kolejność taką: „Dersu Uzała", „Premia", „Ojciec chrzestny" cz. II, „Każdy dla siebie i Bóg przeciw wszystkim", „Widmo wolności", „Zawód-reporter", „Adopcja", „Szczęki", „Portret rodziny we wnętrzu", „Dupont Lajoie", „Skazany", „Sekcja specjalna", „Partita na instrument drewniany", „Wieśniak na rowerze", „Lotta w Weimarze", „Dom". Ten werdykt różni się zapewne od werdyktu, który ustaliłaby publiczność w trakcie hipotetycznego głosowania, ale nie za bardzo. Publiczność dzisiejsza dzieli niechętnie filmy na dobre i złe, natomiast jest bezlitosna aprobując filmy ciekawe i odrzucając nudne. Strojenie się w togę artysty nic tu nie pomoże. Trzeba po prostu nim być. Jak A. Kurosawa, S. Mikaeljan, F. F. Coppola, W. Herzog, L. Bunuel, M. Antonioni, M. Mészáros i na swój sposób S. Spielberg oraz L. Visconti, który pozostaje artystą nawet wtedy, kiedy obdarza nas filmem nieudanym. Prawda jest albo prosta, albo zagadkowa. Kłamstwo w kinie stroi się dziś bądź w szaty poezjowania, bądź złej roboty. Na co warto zwrócić uwagę samych realizatorów.

---

leżał także Daniel Litsche związany wcześniej ze znanym podróżnikiem Krzysztofem Arciszewskim. W Nowym Amsterdamie prowadził on świetnie prosperującą tawernę, ale jego sentymenty kierowały się ku zawodowej służbie wojskowej. Należał do najbardziej wpływowych mieszkańców miasta, biorąc udział w obradach jego rady. Wyróżniał się hojnością darów pieniężnych na rzecz budowania fortyfikacji obronnych Nowego Amsterdamu. Jan Rutkowski i Kazimierz Butkiewicz byli wówczas w tym samym mieście znanymi nauczycielami, zaś Marcin Krygier pełnił w nim obowiązki radnego.

Polak Piotr Stadnicki uchodzi natomiast za założyciela „bawolego grodu" — miasta Buffalo, położonego w stanie Nowy Jork. Dzisiejsza ulica Fillmore Avenue w Buffalo nazywała się wcześniej Stadnicki Avenue. Stadnicki był zdolnym finansistą, prowadził rozległe operacje finansowe nie tylko w Ameryce, ale i w Holandii.

W XVIII wieku osiadła w Pensylwanii inna grupa emigrantów polskich. Jeden z nich, Andrzej Sadowski, z dużym powodzeniem prowadził gospodarstwo ziemskie w mieście Amity. Spokrewniony z nim Antoni Sadowski wsławił się handlem z Indiami oraz jako energiczny kolonizator terenów środkowej Ameryki. Zginął w Wirginii, zabity przez Indian, ale rozpoczęte przez niego dzieło kontynuowali jego potomkowie. Nadto w Pensylwanii mieszkali już wówczas inni Polacy, jak np. Jakub Brucki czy też Karol Gąska.

Fryderyk Post, emigrant polski urodzony w Chojnicach w 1710 r., prowadził misję chrześcijańską wśród Indian plemienia Irokezów. Okazał się bardzo zręcznym misjonarzem. Zyskał szczerą sympatię swoich podopiecznych, co było rzadkością. Dwie spośród trzech jego kolejnych żon były Indiankami. Swoje bogate doświadczenia życiowe zawarł w kilku cieszących się dużą poczytnością książkach. W tym samym mniej więcej czasie działał Paweł Mostowski, były polski mąż stanu, który po niepowodzeniach w kraju osiadł w Ameryce. Marzył o założeniu tam kolonii polskiej pod nazwą „Nowa Polska", ale jego plany nie doczekały się realizacji.

Obok wspomnianych osiedli tam wówczas na stałe także inni Polacy. Brak jednak o nich bliższych informacji. Zachowane źródła wspominają o osadnikach wyróżniających się pod jakimś względem. W każdym razie wiadomo, że pierwsi polscy osadnicy, chociaż stosunkowo nieliczni, swoim talentem i pracowitością wnosili znaczny wkład do rozwoju nowego państwa. Byli oni wśród pionierów kształtujących podstawy cywilizacji północno-amerykańskiej. Wraz z nimi rozpoczynał się długi okres emigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych tożsamy m. in. z oddziaływaniem starej kultury polskiej na młodą, wielonarodowościową kulturę amerykańską.

Roman Tokarczyk

oko-lice sztu-ki

Dotykanie świata

W MAJU br. w sali lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych otwarto indywidualną ekspozycję malarstwa Anny Strumińskiej (na zdjęciu). Autorka ukończyła PWSSP w Łodzi, od kilku lat związana jest ze Świdnikiem i Lublinem. Często wystawia, bierze udział w ogólnopolskich plenerach w Kazimierzu.

W jej lirycznej, nastrojowej twórczości odnajdujemy dalekie echa form naturalnego krajobrazu Jest to malarstwo powstające w rezultacie bardzo osobistego przeżywania pejzażu, po części abstrakcyjne, to znów przedmiotowe, ale w sposób, który sugeruje niechęć autorki do kategorycznego definiowania zjawisk oraz skłonności do poetyckiej refleksji. Rzeczywistości nie da się opisać, można ją co najwyżej próbować wyrazić: układem form, kompozycją barwną, metaforą...

Ostatnio Strumińska wprowadza w obrazy sylwetki ludzkie, nierzadko obdarzając je rolą pierwszoplanową, co nie znaczy, że są to formy elokwentne w sposób literacki. Anonimowe twarze, ciemne owale zaledwie przyznające się do człowieczeństwa, skrywające w mrocznej tonacji złamanych brązów swe życie psychiczne — oto postać zewnętrzna i sens tych obrazów, które należą do ciekawszych na wystawie.

Twórczość Anny Strumińskiej wykazuje nikłe pokrewieństwo z tymi tendencjami, które określają poczynania średniego i młodego pokolenia artystów. Nie interesuje jej komentowanie spraw pozostających w polu uwagi zbiorowości, konstruuje świat własny, złożony z okruchów realnego, z subiektywnych odczuć i doznań — powodowanych przez rzeczy i sprawy może marginalne dla egzystencji społecznej, ale na pewno ważne dla jednostki. Jak łąki i kolory, pola i światło. Intymne malarstwo, w którym nierzadko pojawia się przecież niecierpliwość, widoczna w zbyt pośpiesznym i pobieżnym położeniu plamy barwnej.

Więc może niedługo będzie to malarstwo inne... Co oczywiście nie znaczy, że w swej obecnej postaci nie ma ono większych możliwości rozwoju. Preferując określone postawy twórcze — jakże mogłoby być inaczej — staram się nie tracić szacunku dla innych poetyk i przekonań. Poza tym człowiek omylny jest.

IJK

Anna Strumińska — Fot. A. Polakowski

Matylda Wełna

URLOP

odwieczerzem gospodarz niebo spowiadając
ściągnął z przęseł chmur powrósło dnia złote
kolanem docisnął godziny w snop zbielały
zapachniały kwitnącym żytem

siano w kopie przewrócone dwa razy
matka: brać! nie wolno by orosiało
łomotnęło o ziemię jak źródło prądu
gdy dotknęłam po latach wideł

trawa na furmankę podawana gęsta
parasolem wonnym acz ciężkawym
osypuje na barki krynoliną srebrną
czyściej śpiewa niż piasek plaży

nogi zdarte twardymi sterczynami
pieką rzetelnie jak przystało na sianokosy
kurz wżera się łapczywie w te rany
ach jest i pot towarzysz pracy nieodzowny

dniu za szybki spełniłeś się rajsko
sienny pył drażni upojone nozdrza
słońce kiebz aż mu łeb podskakuje
z kubkiem zorzy odpowiadam: na zdrowie

Wiersz z tomiku „Podwórko", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

„PRZECIW WOJNIE"

2 maja br. w poobozowym baraku nr 62, w którym mieścił się niegdyś warsztat szewski, otwarto stałą galerię sztuki, złożoną głównie z zakupów poczynionych na pięciu wystawach „Przeciw Wojnie" urządzanych cyklicznie na Majdanku od 1966 r. W skład ekspozycji rozłożonej na 700 metrach kwadr., wchodzą również prace malarskie, rzeźbiarskie i graficzne podarowane Państwowemu Muzeum na Majdanku przez poszczególnych artystów.

Prezentowana twórczość podnosi tematykę ruchu oporu oraz okupacji hitlerowskiej w Polsce, wiele też prac nawiązuje do tragicznych momentów w historii współczesnego Wietnamu, Chile oraz do tych innych wydarzeń, które swym brutalnym, antydemokratycznym charakterem niepokoją dzisiejszego człowieka. Jest to wielka ekspozycja, gromadząca także dzieła artystów wybitnych, wyrazem niezgody na wojnę, na rozstrzyganie ludzkich problemów w sposób nieludzki i kwestionujący pojęcie moralności.

Tego rodzaju twórczość Muzeum na Majdanku gromadzi od dawna, ale pierwsze poważniejsze możliwości wzbogacenia zbiorów pojawiły się w roku 1962, kiedy to z inicjatywy Edwarda Nadolskiego, ówczesnego kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie doszło do skutku ogólnopolska wystawa „Martyrologia i Walka Narodu Polskiego w latach 1939—1945" zorganizowana dzięki pomocy ZBoWiD. Z tej właśnie imprezy wywodzą się późniejsze wystawy „Przeciw Wojnie".

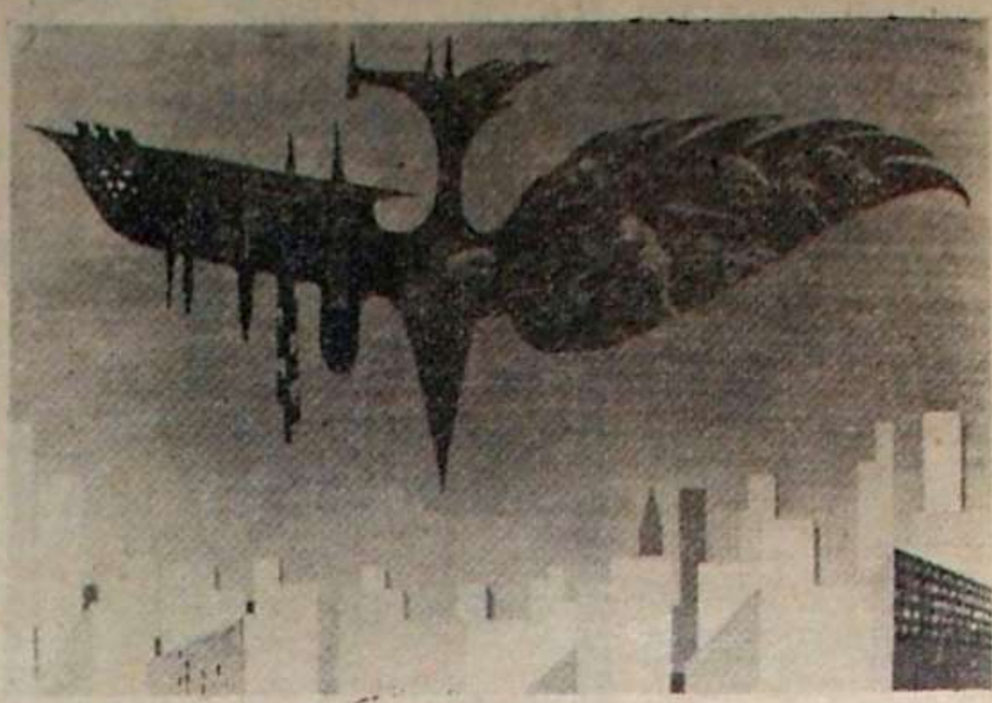

Ryszard Skupin: „Zagrożenie" Fot. A. Polakowski

Kolejna ekspozycja zostanie otwarta za dwa lata i niewątpliwie wzbogaci zbiory stałej, właśnie uruchomionej galerii, urządzonej zresztą z szacunkiem dla szczególnego miejsca, jakim jest teren byłego obozu zagłady, zaopatrzonej w aparaturę do emisji i odbioru muzyki poważnej.

(k)

IMPRESJE

Henryk Czarnecki

Byłem dziś w supersamie. Już żyć tak nie umiem: ginie się w tłumie. Ginie się także w samym sobie. I można dostać po pysku i nawet się nie wie — kto dostał. I dlaczego?

*

Stolarz pokleił mi fotel. Dwieście lat... Ale poręcz już musiał na śruby. Współczesne. To nic. Przeszłość trzeba sztukować nowoczesnością. Wtedy jest ciąg nieustannej historii. I ani przeszłość, ani współczesność na tym nie traci. Sama współczesność byłaby nazbyt tandetna, a sama przeszłość — też się już rozlatuje, jak fotel.

*

Babcia... To drugi pokój. Z oknem na południe, z otwartymi wciąż drzwiami. I pelargonią w doniczce. Każdy powinien mieć w życiu choć jedną babcię.

Babcia istnieje po to, by móc do niej pojechać. U babci jest zawsze ciepły kompot, stary zegar i strych pełen barwnych rupieci. U każdej babci powinny być także gwoździe i sznurki w szufladzie.

Z babci, gwoździ, sznurków i strychu składa się przecież dzieciństwo.

*

Zegar na jeszcze starszym pianinie tyka stopięćdziesięcioletnim głosem. Ma duszę nie powieloną rytmem nowoczesności gładkiej, wypolerowanej.

Nie pasuję do komputerów, zaprogramować się nie dam. Ładniejsze mi świece. I świerszcze za autentycznym kominem. Dużo ich nie mam, ale mogę sobie je urodzić wieczorem. Jesienią. Wiatr podmucha, poszeleści... Jesienią cieplej. Ludzie chodzą bardziej powoli.

Bo wiosna — zbyt widno. Wyraźnie. I dzień za długi... Wiosna zawsze się śpieszy. A przyjemniej — powoli, po kawałku, na raty. Trzeba się przecież przyjrzeć, rozejrzeć, dotknąć nie dotykając.

Najlepsze są płatki. Zawieszone za oknem. Białe, powolne, bezwolne. Jedne po drugich. Choćby potem topniały na jezdni.

Ale zęby wolę usuwać współcześnie. Ze znieczuleniem.

A po staremu — w retro — tylko się boję dentysty.

*

Chcę z tobą spędzić ten deszcz. Czy to nie brzmi jak krople: „spędzić ten deszcz?"

Przywdziejesz twarz tamtą, zapomnianą gdzieś w lustrze, przylepioną do deszczu.

Bo teraz jesteś wykrochmalona na sztywno. Stąd dotąd. W zapiętym pod szyją kołnierzu, obeschnięta, daleka od deszczów. Jakże ci znów tarmosić włosy z takim trudem wrócone na miejsca?

Raz o północy bądź jeszcze sobą. Pełną sprzeczności. Zmokniętą.

Zabrakło deszczu, zabrakło w opowiadaniu pointy. Już jesień?

*

Północ. Coś skończyło się na zegarze, zaczęło.

Na kolację — klopsik z odgrzanym ryżem, herbata. Widzisz, ile wszystkiego dokoła? Więc cóż znaczy tych kilka nie spełnionych drobiazgów. Jakże pusty i samotny byłby człowiek, gdyby wszystko mu się zawsze spełniło.

*

Mimo woli stałem się wynalazcą. Gotując jakąś potrawę stwierdziłem nagle, że jest dźwiękochłonna. Szybko więc powlokłem wynalezioną w garnku masą ściany, sufit i podłogę. Byłem już spokojny o zachowanie tajemnicy milczenia pokoju. Wtedy usiadłem w fotelu i zrobiło mi się smutno, że nie mam nic do ukrycia.

A właśnie to chciałem ukryć.

*

...a ja ci właśnie chciałem złożyć życzenia. Powiedzmy: imieninowe. Ja wiem, że to już trochę daleko stąd dotąd. Od pierwszych śniegów do ostatnich kwiatów mogłaś się już zagubić po drodze razem ze swoim imieniem.

A w ogóle to nie wiem nawet jak ci na imię. Może pół roku temu jeszcze w ogóle ciebie nie było? Albo byłaś nie tam gdzie trzeba?

Ja wiem, że może ciebie i teraz też nie ma, ale ponieważ już być powinnaś — bo jakże można zbyt długo nie być — no więc ja z życzeniami.

Nie chodzi o życzenia. Istotne jest jednak zapukanie do drzwi, znajomy odgłos deski zastąpionej już dzisiaj przez dzwonek. W dodatku — elektryczny. A to przecież nie brzmi tak samo jak deska. Ani nawet — jak dzwonek. Zwyczajny. Z metalicznym sercem w środku. Które porusza się ręką.

No i przyszedł wreszcie ten list. Nieistotne od kogo. I po co? No właśnie: człowiek do człowieka po prostu. Z życzeniami. A że nie po kolei? Nie w porę? No to co? Nigdy nic przecież nie w porę. Ani śmierć, ani urodzenie.

Logiki też żadnej nie szukaj w tym liście. Takiej — stąd dotąd. Wymiernej. Wystarczą życzenia. Albo koperta bez listu. Albo list bez koperty. Ważne, że doszedł, że przyszedł, że jest.

Wiesz, jak bardzo lubię choinkę. I scherzo h-moll Chopina. I bombki w kolędach i w śniegu.

Więc pewnie ci znowu — w środku gdzieś lata — w rozebranych do pasa miesiącach — trochę kolorowego śniegu przyślę w kopercie. I zaczarowaną choinkę.

I...

*

Marzyłem pod ubogą jajecznicę na obiad i przybrudzone zasłony na oknach. I tak cudownie było mi wtedy źle.

A przez dziurę w bucie, przez pęknięcia we wszystkim, co powinno być całe, przez szczeliny w starych zegarach, przez popsute księżyce, poodklejane barwy i fortepiany bez strun popłynęły na maleńkich żaglowcach z gazety bajki i bańki mydlane.

Człowiek chyba powinien być co pewien czas kopnięty w tyłek i zaczynać wciąż od początku. I nie otaczać się niczym. Bo gdy ma się już ciastko, to w środku ciastka jest dziurka, czyli nul, czyli zero i... żal nagle tamtej jajecznicy, przybrudzonych zasłon na oknach, pęknięć i szczelin, i braku strun, i poodklejanych kolorów, i dziury w bucie, przez którą widać taki ogromnie zazieleniony świat.

*

Jesteś już miniaturą. Tak małą, że chyba ciebie już nie ma. Został ich szelest. Nasiona. Zawieszony nad nimi motyl uśmiechu, który zaraz odfrunie na miniaturowym zegarku.

Jesteś sumą wczorajszych sekund i jutrzejszych godzin. Wspomnieniem i marzeniem twojej trwającej wciąż nieobecności. Wczorajsza i jutrzejsza mieścisz się na miniaturowej dłoni świata, który też jest tylko miniaturą.

A ty — jego pointa.

Kamena str. 6

Henryk Pająk

ZIEMIA

I znowu słyszę wasz śpiew
dzieci tamtych dzieci gdy hurmą
stąpacie przez wystygły wieczór
butnie żądając
posłuchu dla tranzystora

Ciszej tam
stąpacie po grobach
ustach i głosach
które mną się stały

Nie budźcie tych
którzy mną się jeszcze nie stali
nie depczcie po mnie
gdy sobą się jeszcze nie stałam
stąpajcie tylko: tak mi ciężko

NA URODZINY

Oto czterdziestka i czas się sposobić
specjalnie nie płosząc najbliższych

jeszcze kościoły omijam jeszcze
z tych co kocham nikt nie odszedł

tylko tak jakoś gęstnieje od tych
których już nie ma

Piętnastego lutego w połowie
wiersza o śmierci telegram
synu
takam szczęśliwa że taka stara

I zaraz wieczór inaczej pulsuje
rzeka Kamienna okoniem staje świerki
sutanny suto ogarniają wiatrem
żeleźniakiem ktoś prze wpław wieczoru
Skarżysko się kamienne staje
a pierś Urszuli Baranowska Góra

Wybaczcie mili
sam tu jestem

* * *

Czyje to dłonie w pożegnania geście
wstają z martwych
czy to wiatr się zgrywa na samego siebie
pośród starych dekoracji
papierowych okiennic
dworców i pociągów

zostańcie
odczekajcie chwilę
zmurszałe odgłosy dzieciństwa
obrazy zgrzybiałej młodości

ach
ci umarli!

Janusz Styczeń

LILIANA, PROSZĘ CIĘ O NASTĘPNE ZNAKI

Liliana, widzę:
wdziewasz na siebie lustro
które wyświetla twoją wewnętrzną gwiazdę
— jestem czysta — mówisz
i nawet w głosie wschodzi ci widoczna
jasnym szeptem biała lilia

Liliana, widzę:
trzymasz w ustach nocną słomkę
i w środku nocy pijesz napój księżyca
— kapitalne — mówisz
i pod wpływem owego napoju
zdejmujesz własny uśmiech i tańczysz z nim

Liliana, widzę:
przed snem usypiasz najpierw swoje włosy
przy każdym włosie celebracja jest ta sama
— lubię nawet samo słowo: szalony — mówisz
nakrywasz się cieniem
który jest obłokiem rzuconym przez twoje śpiące włosy

mógłbym powiedzieć:
na moście zwodzonym mojego oddechu
staje serce rycerz z białą chusteczką
Liliana, to jest retoryka

wciąż to widzę:
Liliana, chowasz swój fantastyczny
klucz w ustach, zaszywasz je
wiecznym milczeniem

właśnie w tej chwili
widzę: cud
razem z popołudniowym słońcem
zstępuje z otwartego okna
twój śpiący włos
unosi się w moim pustym pokoju
i to chyba on świeci
a nie popołudniowe słońce
bo światło takie senne
jakby senny szept świecił
Liliana, słucham

GDY SIĘ MIESZKA W AKADEMIKU...

Bożena Siedlecka

OPOWIADANO mi, że w domu akademickim przy ul. Zana okrzyk „ciepła woda" podrywa mieszkańców z całego piętra na nogi. Wszyscy pędzą pod gorące prysznice, ale ich ognisty zapał najczęściej szybko zostaje zgaszony. Z reguły po minucie ciepłej wody chlusta na ich gołe torsy zimny strumień i jest to niewątpliwie zdrowe, ale na pewno nie najprzyjemniejsze. Na szczęście zbliża się lato, więc będzie można od biedy wykąpać się w Zalewie Zemborzyckim. Wiosna jednak nie zaradzi brakowi kuchenek w akademiku przy ul. Zana. Podczas gdy we wszystkich innych akademikach zawsze można zagotować wodę na herbatę — tu nie. Nie wiadomo, czy zawinił projektant budynku, Oskar Hansen, twórca pięknej dzielnicy LSM, czy budowlani, którzy wypaczyli dobrze sporządzone plany. Tak czy inaczej pokoje wyposażone są w brzydkie i nierunkcjonalne meble, a o pomieszczeniach na kuchenki zapomniano. Studenci zazdroszczą swoim kolegom z „Grzesia" i koleżankom z „Feminy" ładnie i estetycznie urządzonych pokoi. Wątpliwym pocieszeniem dla nich jest fakt, że prawie wszystkie pozostałe akademiki w dzielnicy uniwersyteckiej posiadają, jak się wyraził jeden z działaczy ZW SZSP, meble sprzed wojny japońskiej. Na brak mebli jednak nikt nie narzeka, przyzwyczaić się można do wszystkiego, bo nawet do oziębłości administracji, która nie reaguje na nic. Ani na sesje, podczas których wykwaterowuje mieszkańców, bo przyjeżdżają zaoczniacy, lub trzeba adoptować pomieszczenia na Międzynarodowy Hotel Studencki, ani na brak ciepłej wody, ani na inicjatywy studentów, ani też na worki z wodą lecące z okien na głowy zamyślonych przechodniów. Administracja, która miała także pełnić funkcje wychowawcze, jest nieczuła, lecz w akademiku lubi rządzić.

— Jak układa się wam współpraca z administracją? — to pytanie zadałam kilku przewodniczącym rad mieszkańców.

Przewodnicząca RM „Feminy": — Współpracy nie było tu nigdy. Chciałabym, żeby wreszcie rozdzielono kompetencje nasze i ich. My jesteśmy tu od spraw wychowawczych, oni — od socjalno-bytowych. Tymczasem administracja często wkracza w nasz ogródek i usiłuje stosować różne sankcje w stosunku do „podpadniętych" studentek. Dla nas, czyli dla Rady Mieszkanek, to nawet kierowniczka jest miła, lecz gdy ktoś inny chce coś załatwić... Zaistniała paradoksalna sytuacja: administracja chciała zrobić RM swoim pomocnikiem, gdy tymczasem powinno być odwrotnie. Otóż kiedyś kazano nam, nie pytając o zdanie, kwaterować nauczycielki, które miały u nas zamieszkać w okresie swojej sesji egzaminacyjnej.

Przewodniczący RM „Grzesia": — Nasza kierowniczka jest miła i taktowna. Jednakże współpraca między nami a administracją jest tylko oficjalna. Kierowniczkę zapraszaliśmy na wszystkie zebrania i imprezy, nie była na żadnej. Niedawno zwróciliśmy się do administracji w prostej sprawie chcieliśmy, żeby zapewniono nam pojemniki na makulaturę, której dziesiątki kilogramów wyrzuca się do zsypów. Odmówiono.

I tak jest prawie wszędzie. Administracja nie próbuje współpracować ze studentami. Wyjątkiem w tej regule mogą być dwa akademiki: „Fellach" na Felinie i „Elektron" przy ul. Nadbystrzyckiej. Młode energiczne kierowniczki interesują się pracą rad mieszkańców i życiem studentów. Wszelkie imprezy i akcje są wspólnie omawiane i razem realizowane. W „Fellachu" mieszkają studenci Akademii Rolniczej. Jest to niewielki akademik, w którym wytworzono stosunki i atmosferę życia taką, jakiej pozazdrościć mogą wszystkie inne domy studenckie w Lublinie. Lubiana przez studentów kierowniczka potrafi załatwić niejedną palącą sprawę. Tylko mieszkańcy „Fellacha" mogą z czystym sumieniem powiedzieć, że akademik jest ich domem.

Każdy akademik „obdarzony" jest przez władze uczelni opiekunem, którym z reguły jest pracownik naukowy. Osoba taka ma spełniać funkcję wychowawcy i doradcy. Powinna od czasu do czasu bywać wśród swych podopiecznych i choć troszeczkę interesować się ich życiem. Okazuje się jednak, że opiekunowie, podobnie jak administracja, są też z i m n i. Kiedy zapytałam wiceprzewodniczącą Rady Mieszkańców „Feminy" o współpracę z opiekunem, była tym szczerze zdziwiona, bo nawet nie wiedziała, że takowa funkcja istnieje. Działacze „Grzesia" potrafili wymienić nazwisko swojego opiekuna, jednak żaden z nich nie widział go nigdy na terenie domu. Z uzyskanych informacji wynika, że tak jest prawie wszędzie: istnieje tylko kilku (na palcach jednej ręki zliczyć) opiekunów z prawdziwego zdarzenia. Ludzie ci obok pracy naukowej znajdują czas na solidne zajęcie się powierzonymi im sprawami. Do zupełnych wyjątków należą opiekunowie: dr Teresa Wawrzynowicz (DS 1 i 3 przy ul. Chodźki) dr Maria Paleolog (DS „Fellach"), doc. dr Leon Koj (DS przy ul. Zana) i inż. Mieczysław Dziubiński (DS WSI 3). O swojej pracy w domu studenckim opowiada dr Teresa Wawrzynowicz:

— Miałam szczęście współpracować z ludźmi, od których bardzo dużo się nauczyłam. Byli to: b. rektor AR — Stański, b. prorektor AM — Blauth-Opieńska i prof. Myśliński. Z ich inicjatywy w roku akademickim 1961/62 powołano kolegium rektorskie, które zajęło się sprawami całego środowiska akademickiego. W jego skład wchodzili studenci wszystkich uczelni. W początkowych latach mojej pracy samorządność studencka była mocno ograniczona, bardzo dużą rolę odgrywała wtedy administracja, a opiekun ustalał płaszczyzny porozumienia między studentami a uczelnią. Wtedy nauczyłam się widzieć różne sprawy ludzkie, bo przekazywano mi wszystko to, co działo się w akademiku. Starałam się nigdy nie zawieść zaufania studentów. Kiedy przyszły lata większej samorządności, opiekun stał się doradcą. Obecnie, gdy samorządy DS-ów posiadają prawie całkowitą samodzielność, opiekunowi pozostały tylko obowiązki wychowawcze. Studenci są bardzo surowi w ocenianiu postępowania swoich kolegów, więc niejednokrotnie trzeba łagodzić konflikty i nieporozumienia. Bardzo dobrze współpracuje mi się z samorządem studenckim, gorzej z administracją.

Dr Teresa Wawrzynowicz nie jest malowanym opiekunem. Przebywa często w akademiku, dba nie tylko o sprawy socjalne studentów, ale interesuje się także ich niepowodzeniami osobistymi, odwiedza chorych, pełni swoją funkcję z zaangażowaniem i poczuciem odpowiedzialności. Zyskała sympatię studentów.

Dr Marię Paleolog zastałam na zebraniu Rady Mieszkańców „Fellacha". Jest ona opiekunką tego domu i jego bardzo częstym gościem. O sobie i studentach mówi „my". Pracuje społecznie jako opiekun domów studenckich już 13 lat. Pomaga młodzieży w rozwiązywaniu zwykłych codziennych spraw, a kiedy zaistnieje jakiś konflikt, potrafi zawsze dzięki wrodzonemu taktowi i wysokiej kulturze osobistej — pogodzić zwaśnione strony. Razem ze studentami „Fellacha" zajmuje się dziećmi z Pogotowia Opiekuńczego. Już od trzech lat studenci urządzają zabawy, często goszczą dzieci w akademiku i zabierają je na różne imprezy. Akademik zamieszkują studenci pierwszych lat AR, więc dr M. Paleolog jest tu pierwszą osobą, która uczy ich zasad społecznego współżycia.

Przedstawiłam dwa przykłady bardzo dobrej współpracy między opiekunami a studentami. Są to jednak wyjątki. W większości przypadków status opiekuna DS-u sprowadza się do formalnego obdarzenia go funkcją społeczną, której on nigdy nie wykonuje. Wydawać się może, że przy obecnej szerokiej samorządności studenckiej praca opiekuna wyznaczonego przez uczelnię jest niepotrzebna. Jednakże tak nie jest, o czym przekonuje codzienne życie w akademikach. Szkoda, że ani uczelnie, ani organizacja studencka nie potrafią skutecznie uporać się z „papierowymi opiekunami".

Fot. J. Rudnicki

A co można stwierdzić na temat samych studentów?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć konkretnie i precyzyjnie, ani też przekazać jakiejś ogólnej prawdy. Jest to ~~bardzo~~ liczna i skomplikowana pod każdym względem zbiorowość, że to, co można rzeczowo powiedzieć o jej części, będzie fałszem w stosunku do innej. Życie w akademiku stanowi konglomerat postaw, zachowań i problemów ludzkich. Podobnie przedstawia się sprawa pracy społeczno-wychowawczej samorządów mieszkańców. Miałam możliwość zapoznania się z działalnością organizacji studenckiej na terenie kilku akademików. Zróżnicowanie intensywności pracy społeczno-kulturalnej i różnorodność jej form pozwalają stwierdzić, że w naszych akademikach nie jest tak źle, jak wydawałoby się na pierwszy rzut oka; wyraźnie wybija się działalność DS „Grześ". Śmiem twierdzić, że nawet najsłabszy samorząd jakiegokolwiek domu studenckiego wypracowuje efekty lepsze, niż najlepsza organizacja wydziałowa SZSP na uczelni. Nie decyduje o tym nawet aktywność samorządu, ale w akademiku bardziej niż na uczelni skupia się autentyczne życie studenckie.

W kronice, specjalnie przygotowanej na środowiskowy i ogólno-polski konkurs akademików, odnotowano w czasie od 1 października 1975 do 15 marca 1976 r. 392 imprezy zorganizowane przez samorząd. W pierwszej chwili wydało mi się to nieprawdopodobne, jednakże wszystkie odbyły się i posiadają p r a w d z i w ą dokumentację. Codziennie z reguły urządza się ich kilka; są to często małe, kameralne, ale otwarte dla każdego spotkania. Znamienne jest stwierdzenie przewodniczącego Komisji Ekonomicznej ZW SZSP, które usłyszałam po przejrzeniu przez niego tej kroniki: „Jeszcze kilka imprez i byłaby to kronika środowiskowa".

Jeżeli ktoś chciałby poznać społeczników z prawdziwego zdarzenia, może znaleźć ich w tym akademiku. Nie lubią papierków, deklaracji, zobowiązań. Pracują. Rzadko pokazują się w swej nadrzędnej jednostce, czyli w Radzie Uczelnianej UMCS, nie lubią debatować i przesiadywać na zebraniach. Chodzą własnymi drogami. Ciekawe: w ubiegłym roku RU przyznała nagrodę za dobrą pracę przewodniczącemu samorządu mieszkańców „Grzesia" w wysokości 100 zł, (słownie — sto), ale po tygodniu odebrała, twierdząc, że na nią nie zasłużył!

„Grześ" to jedyny akademik, w którym działa Studencki Ośrodek Dyskusyjny. Zapraszani są do niego prelegenci, pod których kierunkiem uczestnicy spotkań dyskutują na tematy: polityczne, społeczne, obyczajowe, religijne, ekonomiczne itp. Dużo miejsca w pracy domu studenckiego zajmują sprawy sportu i turystyki. Działają tu sekcje: brydżowa, szachowa, tenisa stołowego itp. Ostatnio nawet organizuje się rozgrywki w ...cymbergaja. Przewodniczący samorządu, Zbigniew Borsukiewicz, wychodzi z założenia, że lepiej, gdy studenci grają w cymbergaja, niż „rozrywają się" przy alkoholu. W najbliższym czasie zamierzają zorganizować środowiskową spartakiadę sportową. W przyszłości chcą utworzyć ośrodek szachowy. W tym celu już teraz trenują uzdolnionych uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 6. Została nawiązana współpraca z AZS, która co prawda nie układa się najlepiej, ale w tym wypadku o brak inicjatywy nie można posądzać mieszkańców „Grzesia".

Dobrze się stało, że obrotna Rada Mieszkańców znalazła sobie bogatego protektora, jakim jest Studencka Spółdzielnia Pracy „Juventus". Podczas Dni Lublina ma ona zamiar zorganizować wspólny prawdziwy festyn ludowy ze strażacką lub wojskową orkiestrą. Impreza ma być połączona z występami zespołów regionalnych, kiermaszem wyrobów ludowych, degustacją napojów mlecznych i z licznymi zawodami sportowymi.

Rada mieszkańców współpracuje na co dzień z: Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, ze Studium Nauk Politycznych, Ośrodkiem „Praktyczna Pani", Domem Kultury LSM, Domem Dziecka, Szkołą Podstawową nr 6 i „Filmosem". W akademiku działają dwa kabarety: „Open" i „Agata", które występowały nie tylko w Lublinie, ale i w innych województwach naszego regionu. W „Grzesiu" powstał doskonale zapowiadający się Klub Tańca Towarzyskiego. Po raz pierwszy w kraju w męskim akademiku zorganizowano — wraz z Ośrodkiem „Praktyczna Pani" — kurs kroju i szycia dla mężczyzn! Cieszył się on wielką popularnością. Najprawdopodobniej tego typu szkolenia krawieckie będą organizowane teraz częściej. W najbliższym czasie RM zamierza zorganizować koncert studentów mongolskich oraz wystawę ich prac, na które zaproszeni zostaną przedstawiciele ambasady mongolskiej.

Szkoda, że tak dobrą pracą, jaką zaobserwowałam w „Grzesiu", nie może pochwalić się żaden akademik w Lublinie. Tym innym wypada więc polecić takie słowa przewodniczącego RM „Grzesia": „U nas są ludzie odpowiedzialni. To nie prawda, że studentów ogarnia marazm, trzeba tylko umiejętnie wykorzystać ich zainteresowania i przyciągnąć do pracy".

Kamena str. 7

Waldemar Michalski

DEFILADA

Defilada na grunwaldzkim polu:
jak pragnę was śpiewać chłopcy malowani
pomnik żelazem sięga w niebo
chmur proporce opadają na hełmy.

Tu niedawno jeszcze w rowach
znajdowano buty: Fritz Horst aus Berlin
a wiosną chłopcy bić się najlepiej
a wiosną kochać najgoręcej;

Wolność synu to synonim wiosny
krzyk jak żelazo na miedzy zostanie
w dole zadudni gliniane echo:
śmierć to słowo które pustkę znaczy.

Dolinami i wzgórzami z sercem granatu
z pieśnią nie rzucim i echem zwyciężym
na grunwaldzkim błoniu błękitno od spalin
i srebrnych orłów wysoko wysoko nad nami.

DZBAN

Gliniany dzban na szklanej płycie
biurka — trzyma ucho: wodę nosi
misterna robota ludowego mistrza

Nie przyznaje się doń glina
nie spopieli go ogień
w dłoni podwojony
w kształt wytworny przyodziany.

Cud bez krzyku w dostojeństwie drwiący
będzie bawił oko i spełniał powinność:
z prochu powstałeś — memento woła
nie wszystek umrę — echo odpowiada.

RYSOWANIE OBRAZU

Januszowi Olczakowi

Niech będzie to kwadrat płótna oprawiony deską
lub fragment drogi widziany z okien samochodu.
Krople deszczu rozmazują się ukosem
jak pociągnięcie pędzla po szybach.

W brąz wdzierają się kontury drzew:
opływają czerń jak rdzą trawiony złom
wszystko zaczyna powoli wirować
drzewa po przekątnych kwadratu
i cienie poszukujących się dłoni.

Między palcami wiatr przepędza liście
to srebrne maski w wieńcach laurowych.
Pod wieczór słońce złoci korony
i ostrza noży zaczynają pulsować
gorącą purpurą.

TEMU CO JAK BASTION STOI NIEZDOBYTY

Onegdaj Ledę kaczor zaskoczył w łożnicy
Leda była gładka — łożnica też rzeczy sposobna.

Czemu jak mówią jeszcześ nieżonaty
Czas się ma ku temu — sprawy płocho stoją.

Mówi słusznie filozof dwudziestego wieku:
Kto jest dawcą serca ten jest dawcą krwi.

Dziwna doprawdy twoja nawigacja
czyli obchodzenie z dala gładkich możliwości.

MYŚLEĆ REAL

Dokończenie ze str. 1

wprowadzi się do własnego mieszkania. W tym roku w Janowie odbędzie się kolejne spotkanie artystów zainteresowanych „końskim" tematem. Proszę bardzo, oto program i zaproszenie.

I. J. Kamiński: — Papier niezły, projekt graficzny przyzwoity, druk bez zastrzeżeń. Widać w Lublinie...

B. Maksymiuk: — Nie, w Białej, przy pomocy małej poligrafii, na przechodzonych maszynkach, ale owszem, otrzymanych z lubelskiej drukarni przy Unickiej.

I. J. Kamiński: - Panie dyrektorze, czy wasze potrzeby kadrowe zostały już zaspokojone?

B. Maksymiuk: — Na pewno nie, ale dotychczasowy rozwój sytuacji skłania do realnego optymizmu.

Ryszard Patkowski: — Deficyt kwalifikowanej kadry występuje wszędzie, a województwo chełmskie nie jest w tym względzie wyjątkiem. Ważne, że władze dostrzegają wagę zagadnienia i angażują odpowiednich fachowców spoza regionu. Mieszkania? Niedawno otrzymała je pracowniczka Muzeum Okręgowego, archeolog, w najbliższym czasie dyrektor tej placówki wprowadzi się do swojego „em". Oczywiście, problem jest trudny, ostatecznie sporo ludzi przybyło do Chełma z zewnątrz na zasadzie przeniesienia służbowego ale sądzę, że za dwa — trzy lata zostanie rozwiązany, po uruchomieniu fabryki domów.

Jan Wojnowicz: — Przed rokiem sytuacja kadrowa w województwie zamojskim wyglądała trochę lepiej, niż w bialskopodlaskim, co nie znaczy, że dobrze. W placówkach upowszechniania kultury pracowało 15 osób z wyższym wykształceniem, mieliśmy ponadto 12 członków ZPAP oraz pedagogów zatrudnionych w szkolnictwie artystycznym. Obecnie w instytucjach resortu pracuje 50 osób po studiach. Zależy nam przede wszystkim na ludziach tworzących klimat kulturalny, a zatem na muzykach, plastykach i innych twórcach. Preferujemy te środowiska, mające — w naszym przekonaniu — decydujące znaczenie dla określenia rangi nowego województwa. W minionym roku kilku muzyków (po studiach) i kilku plastyków otrzymało mieszkania. Niedawno uzyskaliśmy ponadto dwie pracownie, malarską i rzeźbiarską, co oczywiście nie finalizuje naszych starań w tym względzie. Umowa, którą zawarliśmy z Wojewódzką Spółdzielnią Mieszkaniową, zapewnia środowisku pięć mieszkań z pracowniami rocznie. Przy końcu czerwca będzie gotów program użytkowy Starego Miasta, które generalnie służyć ma kulturze.

I. J. Kamiński: — Lubelskie Stare Miasto już od pewnego czasu powinno s ł u ż y ć, ale jakoś nie może...

J. Wojnowicz: — Powtarzam: przyjęliśmy i realizujemy zasadę przydzielania mieszkań specjalistom. Z Łodzi sprowadziliśmy właśnie nowego dyrygenta Orkiestry Włościańskiej K. Namysłowskiego, oferując mu mieszkanie.

Mieczysław Białas: — W Lublinie również odczuwamy brak wysokokwalifikowanej kadry. Odchodzą z pracy w resorcie starzy działacze, ludzie w wieku emerytalnym a dopływ młodych i nowych jest niestety ograniczony. Na UMCS studiują obecnie osoby już pracujące w resorcie. Tę trudną kwestię próbujemy rozwiązać poprzez podległy nam system szkolnictwa zawodowego oraz w porozumieniu z oświatą, co w najbliższym czasie powinno przynieść oczekiwane rezultaty. Metodycznie i konsekwentnie rozpatrujemy zarazem te problemy działalności kulturalnej, które rysują się w związku z budową Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Chcąc przenieść tutaj i rozwijać górniczą tradycję kulturalną, musimy pozyskać odpowiednich specjalistów, którzy poprowadzą np. zespoły i ogniska muzyczne. Staramy się działać perspektywicznie, wiemy, że już teraz należy troszczyć się o te potrzeby kadrowe filharmonii lubelskiej, które nieuchronnie pojawią się w momencie przeniesienia się instytucji do nowego obiektu. To wszystko wiąże się z sprawą mieszkań, której nie rozwiążemy tylko własnymi siłami. Nasze władze zabezpieczają pewną ich liczbę, ale skala potrzeb jest proporcjonalna do wielkości miasta. 10 czy 15 mieszkań rocznie to dla nas niewiele, jak w Zamościu cztery. Perspektywy pozyskiwania fachowców wysokiej klasy są zatem skromne, niemniej decyzje władz gwarantują resortowi niezbędną pulę. Zresztą są to problemy występujące we wszystkich województwach.

B. Maksymiuk: — Właśnie. Kłopoty kadrowe, trudności lokalowe — to są realia naszej sytuacji. Rozwiązujemy je w miarę możliwości przerabiając, remontując, adaptując istniejące obiekty, które albo do tej pory nie były wykorzystywane, albo pełniły odmienne funkcje. Oddajemy właśnie do użytku salon wystawowy w tzw. szyi zespołu pałacowego w Białej Podlaskiej, w którym zamierzamy również urządzać spotkania autorskie, prelekcje, koncerty. Przypomnę, że w mieście nie ma żadnej sali widowiskowej, a korzystanie z pomieszczeń instytucji pozaresortowych jest niezwykle kosztowne — 5 złotych za metr kwadratowy. Będzie też w Białej salon „Desy". Przystąpiliśmy właśnie do remontu byłego sklepu z nabiałem (120 m kwadr.)...

I. J. Kamiński: — na którego szybie widniały do niedawna takie napisy „reklamowe": „Mleko, Jaja, Pokój"?!

B. Maksymiuk: — Tak. Na terenie województwa nie ma co prawda obfitości antyków, ale są twórcy ludowi i plenery w Janowie. Ich dorobek chcemy oferować w „Desie". Nie, to nie będzie połączenie galerii malarstwa współczesnego z „Cepelią". Salon przyjmować będzie tylko oryginalne, unikalne dzieła twór-

ZACZNIEMY DZIESIĘCIOLATKĘ

MOWY DO MINISTRA

Wojciech Kurhat

„ŻYCIE Literackie" (nr 19 z 9 maja br.) zamieściło rozważania kilku osób, które się zebrały w redakcji, żeby porozmawiać o programie dziesięciolatki. Prócz ministra Kuberskiego wszyscy reprezentowali środowisko krakowskie: wicekurator okręgu szkolnego, prorektor WSP, dwu dyrektorów liceów ogólnokształcących, dyrektor szkoły podstawowej, nauczyciel historii i trzech dziennikarzy „Życia" z redaktorem Machejkiem włącznie.

Publikacja zajmuje aż trzy i pół kolumny druku, co już samo w sobie jest ewenementem. Drugim ewenementem wydaje się bezwzględność, z jaką red. Machejek, prowadzący spotkanie, usiłował skłonić przedstawicieli krakowskiego nauczycielstwa do otwartych, kontrowersyjnych wypowiedzi: „no ruszyło", „no jeszcze". Ale oni trzymali się twardo:

Red. Machejek — „Kto się czuje najbardziej niezależny w tym gronie wobec Ministra? Wyższa Szkoła Pedagogiczna? Proszę, profesor Kulpa, prorektor WSP."

Prorektor Kulpa — „Bez ostróg, redaktorze, ja swoim torem, praktycznym..."

Red. Machejek — „Przepraszam towarzyszkę Bielową, jestem źle wychowany nie dając jej pierwszeństwa, tym bardziej to złe, że oczekuję przysłowiowych «zębów»".

Dyr. Bielowa — „Nie dam się sprowokować. Ja bardzo profesyjnie."

Red. Machejek (po wypowiedzi dyr. Bielowej) — „Rozumiem, że «zęby» zostawiłaś na potem." (Ale dyr. Bielowa nie pokazała żadnych „zębów" potem, gdyż poprzestała na tej jednej wypowiedzi. Zaś wicekurator Żuradzki na wszelki wypadek nie pokazał w ogóle nic, ponieważ nie odezwał się ani słówkiem.)

Prorektor Kulpa — „... w szkole dziesięcioletniej będą wszystkie dzieci bo to będzie szkoła powszechna... Jeśli weźmiemy pod uwagę, iż w obecnych ósmych klasach jest niemało dzieci nie nadążających i nie osiągających poziomu wyznaczonego przez program, to musimy wyciągnąć wniosek, że z obszernymi treściami w 10-letniej szkole się nie zmieścimy."

Jest to uwaga wskazująca na nieznajomość założeń dziesięciolatki, ponieważ w programie tej szkoły przewidziano już od siódmej klasy tzw. ciągi uzawodowione o nieco innych treściach nauczania, właśnie dla dzieci odstających. Słusznie natomiast podnosi prof. Kulpa potrzebę „znalezienia większej przydatności praktycznej wiedzy przyswajanej uczniom". Osobiście widziałbym w nowym programie, przynajmniej jako zajęcia fakultatywne, nau
prowadzenia
du.

Nauczyciel
wali się z
jeśli nie m
wistych, z k
my sobie sp
szłości musi
kalową, leps
woczesne z
„już teraz na
gotowaniu
nicznej tych
zie dyrekcje
już teraz wi
będą dziesięci
łami specjali
wagi w stylu
kiwać należy
szkoły i studi
dykalnych i
zmian w pro
szych" (spostr
by na inne p
nagród (dla n
pewno korekt
za obszerny i
(spostrzeżenia

Kamena str. 8

czości ludowej plus wspomniane malarstwo. W tym miejscu chciałbym rozwinąć ważny, jak sądzę, problem. Otóż niedostatki kadrowo-lokalowe wcale nie muszą paraliżować działalności kulturalnej. Ale pod warunkiem, że uruchomi się inicjatywę społeczną, wykorzysta lokalny potencjał twórczy. Mam na uwadze stowarzyszenia regionalne oraz artystów ludowych, którzy zresztą nierzadko są członkami tych organizacji. Po powstaniu województwa, od razu, nawiązaliśmy bliski kontakt z działaczami ruchu regionalnego, z malarzami i rzeźbiarzami ludowymi, odwiedzając ich we wsiach i miasteczkach, gdzie — bywało tak — egzystowali w biedzie i odosobnieniu. Dzięki naszym staraniom kilku z nich otrzymało renty i emerytury.

Biała Podlaska. Park

Fot. J. Trembecki

Janów

Fot. Z. Zugaj

Zamość. Podcienia.

Fot. J. Urban

I. J. Kamiński: — Dotarliście do Bazylego Albiczuka, który wystawia obrazy w Czechosłowacji, we Włoszech i RFN, a mieszka w kurnej chacie?

B. Maksymiuk: — Albiczuk, znakomity artysta, dostał już emeryturę, doprowadzono elektryczność do jego domu, niedługo OHP wzniesie mu nowy, ludzki dom — z materiałów zgromadzonych częściowo przez malarza i przez nasz resort uzupełnionych. W najbliższym czasie powinien on otrzymać pewną prestiżową nagrodę twórczą. Natomiast Oleszczuk, znany działacz regionalny, człowiek wyjątkowo serdecznie opiekujący się folklorem, został już uhonorowany ważną nagrodą: imienia Oskara Kolberga. Zresztą z inicjatywy władz kulturalnych województwa... W starym rejestrze STL figurowało 18 artystów ludowych z naszego terenu, obecnie — powołując oddział Stowarzyszenia — doliczyliśmy się ich niemal 140. Znamienne, jak nigdy przed tym ludzie ci nie pojawiali się w WDK czy byłym urzędzie powiatowym, tak teraz są stałymi gośćmi instytucji. Zdaje się, że zyskaliśmy ich zaufanie: do udziału w festynie „Sztandaru Ludu" zgłosiło się 30 twórców ludowych, dzięki czemu dojdzie do skutku ciekawy kiermasz sztuki. Podnosimy też rangę konkretnych placówek. Muzeum biograficzne Kraszewskiego w Romanowie, posiadające do tej pory — na przekór bogatym zbiorom i działalności — status jakby gminnej placówki, otrzymało właśnie nowe etaty, większe środki na zakupy, a Wacław Czech, kierujący muzeum, wyprawia się do NRD w ramach wymiany kuturalnej MKiS.

M. Białas: — Inicjatywa społeczna, zrozumienie dla kultury, tak, to są momenty wszędzie i zawsze ważne w naszych działaniach, ale szczególnego chyba znaczenia nabierają dziś na terenie gmin. Tylko 20 procent gmin województwa lubelskiego posiada pełną sieć placówek kulturalnych, a inwestycyjna perspektywa polepszenia tej sytuacji jest niewielka. M u s i m y więc wykorzystać placówki już istniejące i przynależne do różnych resortów i instytucji: szkoły i remizy strażackie. Z partykularnych często racji bywają one zamykane, jedynym kluczem, który je okazjonalnie otwiera, są zabawy ludowe i jakieś świąteczne imprezy.

B. Maksymiuk: — Niech się wieś spali, remizy nie otworzę, bo moja!

M. Białas: — Ale otwierać gwałtem nie można, pamiętajmy ostatecznie o pożytecznej skądinąd roli kulturalnej straży pożarnych i o innych momentach. Chodzi o przekonanie potencjalnych partnerów, że w grę wchodzi wspólny interes. Należałoby też lepiej wykorzystać sojusznika kultury, jakim są organizacje młodzieżowe, teraz przede wszystkim ZSMP. To jedyna droga poprawy sytuacji. Kwestia jest zresztą dyskutowana w resortach kultury i oświaty.

J. Wojnowicz: — Najważniejsze przecież, jaki stosunek do współdziałania ujawniają konkretni ludzie. W Zamojskiem strażacy należą do bardzo aktywnych sojuszników kultury, a wynika to z faktu, że komendantem wojewódzkim straży pożarnych (poprzednio powiatowym) jest człowiek autentycznie zainteresowany tymi sprawami. Podpułkownik, sam organizuje teatry amatorskie. Rzecz nie w przepisach, ale właśnie w postawach ludzi. Także tych, którzy kierują szkołami.

R. Patkowski: — Do współpracy należy pozyskać w s z y s t k i e organizacje i instytucje, które mają wpływ na życie społeczne gminy. W województwie chełmskim kandydatury kierowników wiejskich placówek kulturalnych będą uzgadniane z ZSMP, ale także z Gminnym Ośrodkiem Pracy Ideowo-Wychowawczej. Chodzi o to, aby te jednostki poczuwały się do odpowiedzialności za jakość pracy kulturalnej. Przy okazji chciałbym poinformować o pewnej akcji, obliczonej zresztą na dłuższą metę, nazwanej „Gminnymi spotkaniami ze sztuką ludową", a zainicjowanej przez Muzeum Okręgowe i Towarzystwo Wiedzy Powszechnej w Chełmie. O co idzie? Raz na miesiąc w wybranej gminie odbywa się otwarcie wystawy indywidualnej artysty ludowego, ale połączone z wernisażem. Cztery-pięć flaszek wina, oczywiście wytrawnego, jak należy, stwarza nastrój nie tylko bardziej familijny, ale i uroczysty. W otwarciu bierze udział autor oraz historyk sztuki, który wprowadza zebranych w istotę prezentowanej twórczości. W ceremonii może uczestniczyć każdy. Niektórzy z mieszkańców — naczelnik gminy, dyrektor szkoły, nauczyciele, pracownicy służby zdrowia, spółdzielczości — otrzymują przecież imienne, drukowane zaproszenia. Bo celem tych spotkań jest integracja środowiska, złożonego częstokroć z ludzi niedawno osiadłych w danej miejscowości — w związku z reformą administracji. Osiem dotychczasowych wernisaży pozwala stwierdzić, że impreza chwyciła: średnia frekwencja waha się w granicach od 30 do 50 osób, odnotowaliśmy już pierwsze prywatne zakupy. W Wojsławicach jeden z gości kupił „na pniu" obraz pani Mąki, po czym zdjął go ze ściany i poszedł do domu.

M. Białas: — Można kupić pomysł imprezy?

B. Maksymiuk: — Właśnie!

J. Wojnowicz: — Ja też!

B. Maksymiuk: — Potwierdza się stara prawda, że ludzi można pozyskać tylko wówczas, kiedy się ich poważnie traktuje. W otwarciu pokonkursowej wystawy pisanek, którą niedawno urządziliśmy brała udział sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, składając autorom gratulacje. Dobre okazały się następstwa owej wizyty.

M. Białas: — Chciałbym dodać ze swej strony, że naczelnicy gmin znajdują w tej chwili czas, mimo że zawaleni obowiązkami natury gospodarczej, dla kultury. Najtrudniej byłoby mówić o referentach kultury. To odrębny problem, bardzo złożony. Dobrze, że pewne funkcje koordynowania działalności kulturalnej w gminach przejmują kierownicy i dyrektorzy placówek. Jeśli zaś chodzi o społeczne komitety do spraw kultury, to trzeba stwierdzić, że w tej sferze nie mamy jeszcze za dobrych doświadczeń, aczkolwiek w niektórych miejscowościach działają one sprawnie, próbując nawet tworzyć wieloletnie programy rozwoju kultury.

I. J. Kamiński: — Powróćmy na koniec na teren miasta wojewódzkiego... Typowy to dziś widok, poza Lublinem nie spotykany do niedawna ani w Chełmie, ani w Białej, ani w Zamościu: gęstwina plakatów wabiących ludzi na różnorakie imprezy kulturalne..

R. Patkowski: — Tak, to nawet ładnie wygląda i dobrze świadczy, aczkolwiek sygnalizuje pewne potknięcia. Wraz z utworzeniem nowych województw otrzymaliśmy większe środki i możliwości działania. W rezultacie zaczęły się mnożyć koncerty, pokazy, konkursy i spektakle — w takim tempie, że ostatecznie zmalała frekwencja na poszczególnych imprezach. Rynek, jak to się mówi, znalazł się w stadium przesycenia. Obecnie postępujemy bardziej racjonalnie, preferując imprezy o dużej randze. Nawiązaliśmy np. kontakt z Krajowym Biurem Koncertowym, dzięki czemu gościliśmy Czerny-Stefańską i zespoły kameralne, produkujące się „przy świecach" w Muzeum Okręgowym. W dalszym ciągu rozwijamy działalność „Galerii 72", eksponującej czołowych artystów polskich. W najbliższej przyszłości odbędą się tam wystawy Nowosielskiego, Hasiora i Brzozowskiego.

J. Wojnowicz: — W ogóle zmierzamy do tego, aby zaczęło u nas dominować nowe myślenie o kulturze, które nie będzie miało nic wspólnego z sumą pomysłów powiatowych. W Zamościu organizujemy właśnie I Przegląd Plenerowych Widowisk Teatralnych, wspomagami przez Hanuszkiewicza. Czy ta ogólnopolska impreza przekształci miasto w polski Avignon, trudno powiedzieć, ale... Mamy zamiar kontynuować ogólnopolski plener malarski w Zwierzyńcu, inicjujemy plener elewacji i polichromii oraz szeroko zakrojone przedsięwzięcie pn. „Dziecko w twórczości artystycznej" — filmowej, literackiej, plastycznej — nawiązujące do tragicznych wydarzeń lat okupacji. Przez całe lato czynne będą w Zamościu Targi Plastyki Amatorskiej. Przymierzamy się do uruchomienia festiwalu średnich szkół artystycznych... Na tym oczywiście nie koniec...

I. J. Kamiński: — Można zatem powiedzieć, że oprócz ambicji, które wyzwoliła wojewódzka samodzielność, już teraz, zaledwie po upływie dwunastu miesięcy od momentu reformy, oferujecie sporo rzetelnych dokonań i autentycznych wartości. Mimo niedostatków kadrowych i trudności z bazą, o czym traktują również programy rozwoju kultury, opracowane i zatwierdzone we wszystkich województwach.

Dziękuję za udział w dyskusji.

---

parte propozycjami konkretnych zmian i przesunięć w programie)...

Minister Kuberski powiedział: „— założenia nasze idą w kierunku pozostawienia nauczycielowi około 20% czasu dla jego własnych poczynań i własnej inicjatywy. Około 80% powinno być wykorzystanych na realizację haseł programowych". Ale nawet to bezsporne założenie, szczególnie w okresie docierania się nowego systemu, dające pewną inicjatywę nauczycielowi w doborze treści nauczania, spotkało się z obawami! Pedagogowie szkolni, widać, nie kochają zbytnio samodzielności. Dyr. Głowiński martwi się: „Ministerstwo wydaje szereg zarządzeń, które bardzo często usiłujemy ulepszyć i poprawić. Oczywiście takie praktyki są niedopuszczalne"!

Rozczarowały mnie te głosy nauczycielskie. Jeśli w tym stylu ma być prowadzona cała dyskusja środowiskowa... Sytuację uratował nieco głos Stanisława Jastrzębskiego, nauczyciela historii: „Nie zaczynajmy budowy programu od ustalenia z góry siatki godzin i wyliczenia ich globalnej oraz tygodniowej dla każdej klasy liczby w poszczególnych przedmiotach. Zacznijmy od szczegółowego ustalenia konkretnych treści programowych, koniecznych do przekazania przez nauczyciela w każdym przedmiocie. Dopiero bowiem wówczas okaże się ile musimy mieć godzin na każdy przedmiot, by realizacja ustalonych treści programowych była praktycznie możliwa. Programy poszczególnych przedmiotów, ale z pełną ich treścią i konieczną na przekazanie tej treści liczbą godzin, poddajmy następnie konfrontacji, szukając możliwości ich wzajemnej korelacji i badając, jak będą mogły najlepiej współtworzyć program edukacji na poziomie średnim w przyszłej powszechnej szkole dziesięcioletniej".

Ta wypowiedź jedynego w gronie rozmówców szeregowego nauczyciela wskazuje na pewną arbitralność poddawanych pod dyskusję propozycji programu dziesięciolatki. Wskazuje też, ile konkretnego materiału mogliby wnieść do owej dyskusji zwykli nauczyciele-praktycy, gdyby zechcieli odważniej...

Najbogatsze i najbardziej rzeczowe uwagi zgłosili dwaj reprezentanci „Życia Literackiego", Bortnowski, mający bogate doświadczenie nauczycielskie, i Maciąg, a były to także uwagi najbardziej kontrowersyjne, aż red. Machejek westchnął (podejrzewam — z niejaką lubością): „Robicie wyraźny afront Ministrowi..."

Najgrubszą śruciną strzelił Bortnowski: „Dotychczas pomyślne zdanie matury dawało przywilej ubiegania się o miejsce w wyższej uczelni. Tymczasem absolwent dziesięciolatki, który nie skończy ponadto dwuletniej szkoły specjalizacji kierunkowej, nie poradzi sobie na studiach, nawet jeśli mu po służbie wojskowej lub kilkuletniej pracy wstęp na uczelnię bez formalnych rygorów umożliwimy". I dalej, że „nastąpi podział na zbawionych i potępionych", a to niedemokratyczne etc.

Może i Bortnowski ma rację, chociaż ja bym się z tego tytułu tak nie martwił. Założeniem reformy jest wyrównanie startu dzieci wiejskich i miejskich (w każdej gminie będzie dziesięciolatka, szerzej wyjdzie się z opieką przedszkolną itd.), stworzenie wielości rozmaitych szans w uzależnieniu od poziomu i aspiracji młodzieży: ciągi uzawodowione w dziesięciolatce, zwyczajne świadectwo ukończenia szkoły średniej lub matura, szkolnictwo zawodowe 0,5—2,5 letnie na podbudowie dziesięciolatki, szkoły specjalizacji kierunkowej przysposabiające do studiów...

A że nie ma tu pełnej demokracji? Albowiem być nie może, ponieważ sama natura nie jest demokratyczna i nie obdarza ludzi po równo zdolnościami, zamiłowaniami i sprawnościami. Założeniem reformy, o którym się chyba za mało mówi,

Dokończenie na str. 15

SAMORZĄD W DZIELNICY

Tadeusz Jasiński

CHODZĘ po lubelskiej dzielnicy Tatary, jadę na Zadębie. Przy ulicy Łęczyńskiej, od strony Bystrzycy, przycupnęły zgrzybiałe wiejskie zabudowania. Chałupinki, jak z secesyjnego, sielskiego obrazka. Po drugiej stronie — współczesne bloki i wieżowce. Dwa kontrastowe obrazy. Przemysłowe miasto zintegrowało dawną wieś Tatary, oddziałuje coraz widoczniej na należące do tej samej dzielnicy Zadębie. Kiedy zaczęło się rozprzestrzeniać we wszystkich kierunkach, także na Tatarach wykupiono pola. Jest to obecnie nie tylko duża dzielnica mieszkaniowa. Zlokalizowano w niej wiele dużych i mniejszych przedsiębiorstw: FSC, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo PKS, Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie, „Budomasz", Zjednoczenie Przemysłu Mięsnego, Centralę Rybną, spółdzielnie „Farmochem" i „Współpraca", WSS, Zakłady Urządzeń Cukrowniczych, chłodnie oraz mniejsze instytucje. Tatary z Zadębiem liczą już prawie 25 tysięcy mieszkańców i co najmniej takiej samej liczbie lublinian dają pracę. Dzielnica ma więc problemy niejednego samodzielnego miasta.

Samodzielność dzielnicy w dużym organizmie miejskim musi być siłą rzeczy w niektórych sprawach zarządzania ograniczona. Lublinem rządzi Urząd Miejski i prezydent. W jakim stopniu więc taka dzielnica, jak np. Tatary, może być samorządna? Co jej mieszkańcy wiedzą o swoim samorządzie, który rozpoczął właśnie drugą kadencję i za pośrednictwem ich przedstawicieli został znowu wybrany?

Dla wielu jest to anonimowa grupa działaczy, niektórzy utożsamiają dokonania społeczne z pracą administracji domów mieszkalnych, ale to nie jest zbyt niepokojące, skoro liczni potrafią powiedzieć o osiągnięciach spowodowanych właśnie przez samorząd. Po ostatnich wyborach wiedza na ten temat jest powszechniejsza. Moi rozmówcy częściej niż przedtem pamiętają reprezentantów w komitetach obwodowych samorządu mieszkańców, wiedzą, kto jest przedstawicielem ich domu. W obwodzie „A", centralnym, znają nazwiska Jana Błażukiewicza — sekretarza oddziałowej organizacji partyjnej, Sławomira Bujnowskiego — I sekretarza Terenowej Organizacji Partyjnej, liczącej 110 członków, a zarazem dyrektora szkoły podstawowej przy ul. Kresowej, Mieczysława Raczkiewicza — długoletniego działacza komitetów blokowych, przewodniczącego Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców, Franciszka Barnickiego — sekretarza tegoż KO SM. Mniej znane jest nazwisko Kazimierza Partyki, kierownika ADM-u nr 4, ponieważ sprawuje tę funkcję dopiero od jesieni. W sumie więc można sądzić, że grupa około 80 działaczy KO SM, jego komitetów obwodowych oraz trójek i piątek domowych posiada już spory autorytet i prestiż na Tatarach i Zadębiu.

Czym go sobie zdobyła? Przede wszystkim uporządkowaniem dzielnicy oraz konsekwentnym reprezentowaniem interesów ludności wobec władz miasta oraz wojewódzkich i ogólnomiejskich kierownictw przedsiębiorstw, które mają wpływ na życie ludzi na Tatarach i Zadębiu. Na apel Komitetu Osiedlowego SM wszystkie wymienione przedsiębiorstwa (oprócz WSS i Zakładów Urządzeń Cukrowniczych) uporządkowały nie tylko swoje place fabryczne, ale zadbały o estetyczny wygląd wokół instytucji, przy najbliższej ulicy. A o to właśnie najbardziej chodziło. Załogi pojęły interes dzielnicy, w której pracują, a nierzadko także mieszkają. Na wolnych skrawkach ziemi, tam, gdzie szczęśliwie nie skuł jej jeszcze beton, posadzono krzewy i kwiaty, posiano trawę. Apel ten poparło czynem również społeczeństwo Tatar i Zadębia.

Mieszkańcy rozebrali wiele starych domów, budek, przybudówek szpecących dzielnicę. Kto w wiosenny i letni dzień przejdzie się uliczkami i obok skwerków, spotka dużo zieleni, coraz więcej ławek. Od chwili powstania tego osiedla zasadzono tu około pół miliona krzewów, bylin, sadzonek żywopłotów, w tym także kilkanaście tysięcy drzew. Tylko w czasie ostatniej dwu i pół letniej kadencji samorządu wzbogacono wymieniony tu drzewostan o prawie 10 tys. róż i 36 tys. kwiatów sezonowych. Wszystko to w czynie społecznym. A ile pracy włożyli mieszkańcy w budowę amfiteatru, małych boisk, przy porządkowaniu osiedla, podnoszeniu jego estetyki? Zasiali trawniki na powierzchni prawie 14 tys. metrów kwadratowych, a odnowili je na obszarze jeszcze większym. Wartość prac społecznych wykonanych przez mieszkańców Tatar i Zadębia oraz pracowników zakładów dla tej dzielnicy za okres ostatnich 30 miesięcy została przez odpowiednie komisje oceniona na prawie 4 miliony złotych!

Szkoła przy ul. Kresowej zyskała sprzęt i pomoce naukowe wartości pół miliona złotych, a mimo to w kasie KO SM pozostało jeszcze 167 tys. zł pochodzących z nagród konkursowych uzyskanych w poprzednich latach. Członkowie obecnego prezydium spodziewają się sumę tę powiększyć dzięki dobrym wynikom w konkursie czynów społecznych i w konkursie na estetyczny wygląd dzielnicy. W dużym stopniu słuszną więc ocenę własną usłyszeli na majowym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym mieszkańców tej dzielnicy:

— Stanowimy zespół aktywu zdolny podjąć każde zadanie powierzone nam przez władze partyjne i administracyjne. Sprawdziliśmy się wzajemnie nie jeden raz. Doświadczenia ubiegłych lat potwierdziły, że przy dobrej współpracy, wzajemnym zrozumieniu, mogą zgodnie i z pożytkiem dla społeczeństwa pracować wszystkie organizacje w dzielnicy — z administracją terenową włącznie.

Nie tylko jednak o czystość i zieloność osiedla chodziło. Również o inne sprawy toczyły się i trwają boje. KO SM i egzekutywa Terenowej Organizacji Partyjnej mają na swoim koncie nie tylko pozytywy, ale i zanotowały bolesne porażki. Te niepokoją, muszą budzić wątpliwości dotyczące pełnej, statutowej samorządności i władzy KO SM na jego terenie działania. Nie mogą przekreślić jego prestiżu, ale go obniżają.

Nad Tatarami i Zadębiem powietrze nie należy do najczystszych. A było gorzej. Zakłady przemysłowe, w tym FSC — na wniosek Komitetu Osiedlowego i z własnej woli — uczyniły już sporo, aby się poprawiło. Samorząd przeciwstawił się wjazdowi kopcących lokomotyw na teren Zakładów Mięsnych i chłodni, zastąpiono je więc spalinowymi. I tym zyskał uznanie. Równocześnie jednak od czterech lat przegrywa z PKP; chodzi o wybudowanie przejścia dla pracowników FSC i szkolnych dzieci oraz przejazdu dla rolników Zadębia przez nowy nasyp kolejowy, którym prowadzą tory do Świdnika. Nadal są odcięte domy i gospodarskie pola. Powoduje to straty rolników, a ludzi naraża na niebezpieczeństwo. Na prośbę samorządu osobiście wdał się w sprawę prezydent Stanisław Bora, a mimo to liczne komisje i eksperci wciąż bezskutecznie medytują nad problemem, który projektanci powinni byli dostrzec przed przystąpieniem do robót ziemnych.

Po wybudowaniu przez chłodnię na Zadębiu własnego ujęcia lustro wody w studniach chłopskich obniżyło się o półtora metra. Interwencje KO SM okazały się połowiczne. Zaangażowani przez zainteresowane przedsiębiorstwo eksperci „udowodnili", że zanikanie wody nie jest wynikiem tej inwestycji, ale innych bliżej nie ustalonych czynników naturalnych. Chłodnia wysunęła jednak łaskawie poza swoje ogrodzenie rury, by zadębianie mogli z nich czerpać wodę do beczkowozów. W przyszłości rurociąg zostanie doprowadzony bliżej zabudowań, a wtedy czyn społeczny pozwoli wodzie dopłynąć do zagród i domów.

Inna sprawa. Uchybia nie tylko władzom samorządowym na Tatarach, ale także wojewódzkim i miejskim upór Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Terenowego „Drewno" (nazwa dotychczasowa), które nie respektuje styczniowej decyzji Urzędu Wojewódzkiego dotyczącej opuszczenia źle wykorzystanego lokalu przy ul. Gospodarczej 32. Komisji i pism w tej sprawie było już wiele, na ostatnim w imieniu wojewody można przeczytać: „Decyzja jest o s t a t e c z n a". Pomieszczenia te, jako tymczasowe, przyznano ADM-owi i bezdomnemu Komitetowi Osiedlowemu SM oraz organizacjom społecznym tej części miasta.

Podobnie jest z próbą przejęcia lokalu Spółdzielni Przemysłu Drzewnego przy ul. Hutniczej (w lokalu mieści się rachityczny komis starych mebli) przez bardzo dobrze działającą, ale w jakże złych warunkach filię Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej — jedynej tu zresztą państwowej placówki kultury, która zaspokaja potrzeby setek czytelników. Wyniki gospodarności oraz autorytet samorządu obniżają także te przedsiębiorstwa, które na ul. Kresowej i w innych miejscach pozostawiły zwały ziemi i budowlanych śmieci po zakończeniu robót. Nie sprzyja też prestiżowi ponad dziesięcioletnia partanina wciąż zmieniających się wykonawców przy budowie basenu kąpielowego.

Nasuwa się znowu pytanie: czy samorząd jest w pełni naprawdę samorządny, jeżeli wbrew przepisom, bez konsultacji z nim niektóre wydziały Urzędu Miejskiego swobodnie sobie poczynają i decydują w wielu sprawach? KO SM dla zapewnienia większego bezpieczeństwa chciał w porzuconym przez spółdzielnię fryzjerską lokalu naprzeciw niezbyt cichych — knajpy „Lotos", baru i piwiarni usadowić placówkę ORMO. Staraniem Wydziału Spraw Lokalowych UM zwyciężyło wpierw Zrzeszenie Hodowców Koni, a ostatnio prywatna mistrzyni grzebienia i nożyc. Przydział podpisano „z upoważnienia" ojca miasta, zapewne bez jego zgody na tę decyzję. Jeszcze 40 rodzin trzeba przesiedlić z

Dokończenie na str. 12

Z LAT OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

W obronie biblioteki

Kazimiera Gawarecka

Autorka wspomnień: Kazimiera Gawarecka

Fot. J. Trembecki

DZIEJE Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie opisane zostały w księdze pamiątkowej „Hieronim Łopaciński i biblioteka Jego imienia 1907—1957". Ja zaś po 19 latach, które upłynęły od pięćdziesięciolecia tej instytucji (mając obecnie 91 lat), chciałabym szerzej opisać wypadki, które zaszły w bibliotece w okresie okupacji hitlerowskiej w czasie mego tam pobytu.

W r. 1938 stowarzyszenie Związek Pracy Kulturalnej przekształciło się w Instytut Lubelski. W jego skład weszła również Biblioteka im. H. Łopacińskiego obok Muzeum Lubelskiego i T-wa Przyjaciół Nauk. Instytut przejął zakończenie budowy gmachu dla wyżej wymienionych instytucji. Na budowę gmachu złożyły się, oprócz funduszów samorządu, państwa i instytucji, składki społeczeństwa Lublina i województwa. W marcu 1939 r. wyłoniła się sprawa likwidacji T-wa Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego, co spotkało się ze sprzeciwem części członków Zarządu T-wa. W końcu wyraz „likwidacja" zmieniono na „połączenie". Instytut przeznaczył na bibliotekę 18 000 zł rocznie. Majątek ruchomy i nieruchomy Towarzystwa przekazano na własność Instytutu pod warunkiem dalszego prowadzenia działalności jako zakładu pod nazwą „Biblioteka im. H. Łopacińskiego".

W maju 1939 r. przenosiliśmy księgozbiór Biblioteki z Trybunału (w Rynku) do gmachu Instytutu. Bibliotece oddano okazały obiekt magazynowy, jedną salę na parterze i dwa małe pokoje na kancelarię. Muzeum umieszczono na pierwszym piętrze w ośmiu pokojach (w tym dwie duże sale), Związek Artystów Plastyków otrzymał na drugim piętrze specjalną salę wystawową. Pracownikami w nowym pomieszczeniu Biblioteki były tylko 2 osoby: ja — jako kierowniczka i Zofia Polakówna — magazynierka zatrudniona od 1935 r.

Po rozejrzeniu się w sytuacji wcale nie byłam zachwycona nowym stanem rzeczy. Szczupłość pomieszczeń i brak ludzi do pracy rzucały się w oczy. W Instytucie nikt Biblioteką się nie interesował. Przyzwyczajona byłam do b. ciepłej atmosfery wokół spraw Biblioteki, istniejącej szczególnie za życia dr. Kazimierza Jaczewskiego i później. W Instytucie Biblioteka była „kopciuszkiem". Dyrektorem Instytutu został dr Józef Dutkiewicz — konserwator wojewódzki i dyrektor Muzeum, znany artysta-malarz. Stanowisko to miał objąć pierwszego stycznia 1940 r.

Przed pierwszym lipca obie z Zofią Polakówną wyjechałyśmy na zasłużony dwumiesięczny odpoczynek. Po powro-

Dokończenie na str. 12—13

Kamena str. 10

1 VI – DZIEŃ DZIECKA

Fot. H. Jurko

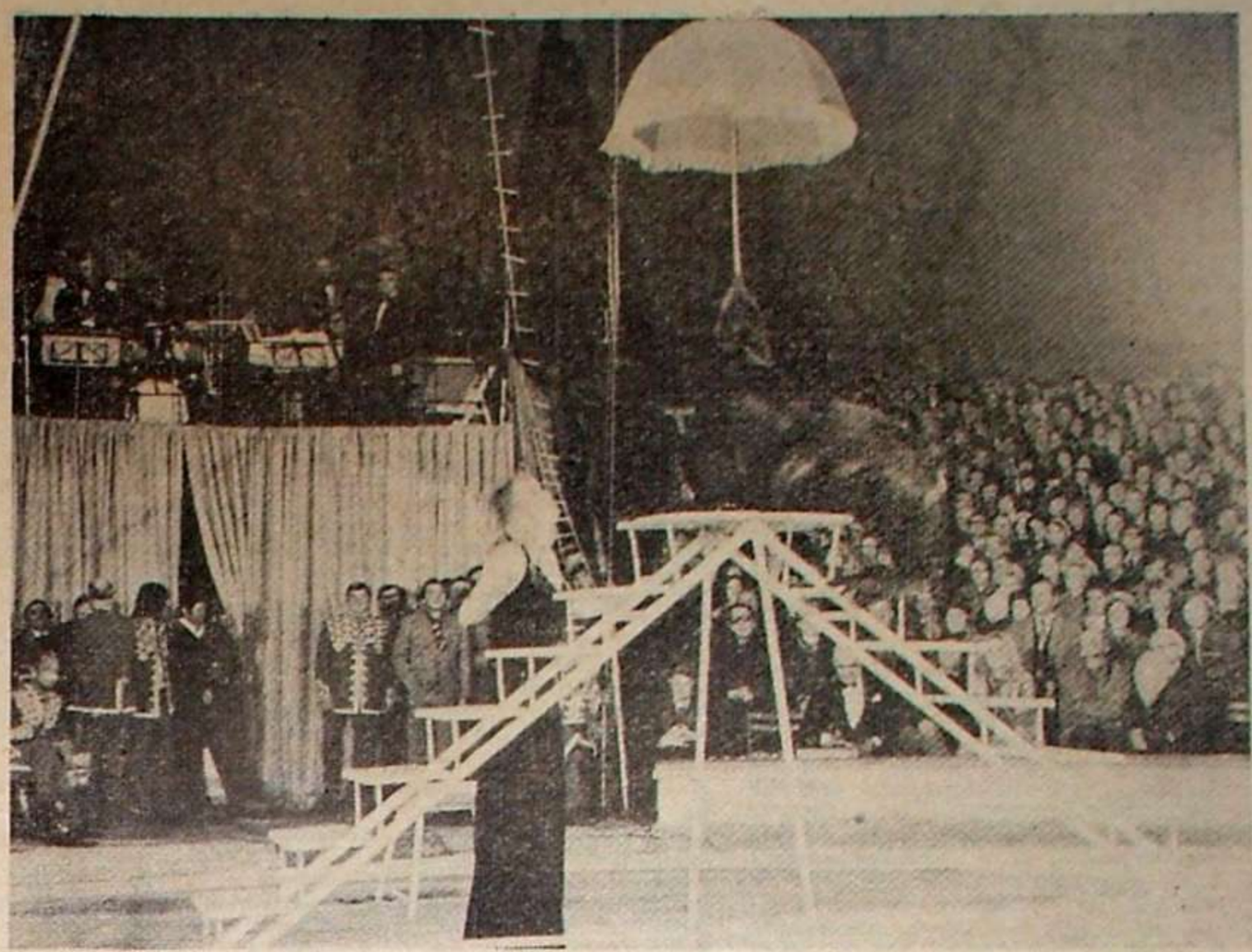

„Artyści dzieciom". Ten program oglądaliśmy w telewizji. Dochód z imprezy w wysokości 1,5 mln zł przeznaczono na Centrum Zdrowia Dziecka. Na zdjęciu: Magda Zawadzka tresuje fokę

Fot. S. Grünberg

NASZE DZIECI

Janka Bryl

On skrzywdził swoją dziewczynkę i teraz gorzko rozmyślał o tym, jakiego by użyć podstępu, żeby stworzyć pretekst do pogodzenia się.

A ona trochę popłakała i wieczorem, wracając ze szkoły, kupiła w kiosku szkolnym dwa arkusiki zielonego papieru. Na jego i swoją ławkę. Czyściutkiego, zielonego niczym ruń wiosenna...

Po co i dlaczego — tak podpowiedziała jej myśl ośmioletniego człowieka? Czy jest to po prostu miłość?

• • •

Zineczka omal nie wpadła pod koła samochodu. Słyszała trąbienie na zakręcie, lecz w żaden sposób nie mogła zahamować roweru. Jeździła jeszcze nie na siodełku, ale „pod ramą" i w takiej pozycji bardzo nieporęcznie jest hamować...

Kierowca wystraszył się, szarpnął w lewo, rozwalił płot i wjechał w kartofle. I też nie mógł się zatrzymać — dopiero przyjaciel, który siedział obok niego w szoferce, nacisnął na hamulce...

Zdarzają się cuda! I dziewczynka została przy życiu, i rowerowi nic się nie stało, i samochód — stwierdzili to potem — pozostał nieuszkodzony. Płot momentalnie postawiono na miejsce. Kierowcy chciało się płakać, lecz się uśmiechał...

Tylko Zineczkę nie od razu znaleziono. I zapewne nie odnaleźliby jej — sama wróciła aż z trzeciego ogrodu. Kiedy ten samochód już dawno odjechał, kiedy już babcia wykrzyczała się i ucichła... Bała się, nieposłusznica, że babcia będzie ją bić. Za to, że „gania na tym rowerza jak opętana".

Zineczka je mleko z chlebem i już opowiada:

— A ja, babciu, w Szymonowych kartoflach leżę i gładzę swoje nóżki, a one ciągle drżą!... A one ciągle drżą!...

• • •

Chłopczyk spogląda na sierp księżyca. Domyślił się:

— On przebił trochę nieba i wyłazi!

• • •

— Tyle i pozostaje tej radości z dzieci, kiedy jeszcze trzeba prowadzić je za rączkę — powiada przedwcześnie postarzała i zmęczona matka.

Dzieci opuszczają rodziców (czasami bez wdzięczności), ale potem powracają do nich w postaci wnuków. Dlatego też, powiadają, babcie bardziej kochają wnuczęta, niźli kochały kiedyś swoje dzieci.

Trzymając za rączkę życie, które oto już minęło, i oddala się!...

• • •

Nie mogą się nacieszyć sobą — córka i matka. Nie widziały się przez trzy lata... Nie — ponad tysiąc dni i nocy! Równo tyle, ile ich miasto było w rękach wroga.

Jeden wojenny rok na służbie liczy się potrójnie. Żołnierzowi. Dzieciom i matkom, których rozłączyła wojna, trzeba by liczyć ów czas przynajmniej raz jeszcze potrójnie. Czas czekania, tęsknoty, braku wieści...

I oto znów są razem.

Wciąż jeszcze wychudłe rączki zimy na matczynych ramionach, a jej nosek raz za razem kryje się w cieple to jednego, to drugiego matczynego policzka.

Być może za dużo jest tych pieszczot, być może matka zupełnie niepotrzebnie każdego dnia sama ubiera małą? Zineczka wyrosła bowiem już na pierwszoklasistkę.

— Oj, przypomniało mi się, mameiu, przypomniało się!..

— Co? Nie krzycz tak, stój spokojnie. Cóż ci się przypomniało?

— Kiedy ciebie jeszcze nie było, kiedy ty byłaś w ewa-kuacji... Widzisz, to słowo ja już od razu wymawiam! Kiedy mieszkałam z babcią tylko ...kiedy w Mińsku byli jeszcze faszyści... Mamo! Mamo kochana!...

— Co? Co, złotko moje?

— Czy to wszystkie mamusie i wszystkie ich córeczki mają takie same oczy?

— No, nie zawsze.

— To dlaczego u mnie i u ciebie są takie same, niebieskie?

— Mów, córuchno, o co ci chodzi? Co takiego śniło ci się, kiedy mnie nie było?

— Ty śniłaś mi się, mamusiu. I to nie raz, ale często! Oto widzę ciebie. Jak tylko zaczniesz iść — i ja idę. Jak tylko zacznę biec do ciebie — i ty biegniesz. A potem gdy krzyczę: „Ma-mo"... — ty od razu znikasz. Oj, jak łaskoczą twoje łzy, zaraz kichnę... Może nie jeden raz tak śniło mi się, ale dużo razy... Mamo!

• • •

Idziemy przez mokry i oblodzony śnieg. Gdyby to nie było w mieście, pewnie usłyszelibyśmy śpiew skowronków.

Bywały dziennikarz i dobry, poważny przyjaciel opowiada:

— Najstraszniejsze ze wszystkiego, com zobaczył przez całą wojnę, zdarzyło się w jej pierwszym dniu, kiedyśmy wycofywali się spod Białegostoku. W wagonie pewna młoda kobieta zwariowała ze strachu. Młoda, piękna, z synkiem. Mały płakał: „Mamusiu, mamusiu, to ja, twój Wicia! Ja!..." A ona biła go i odganiała od siebie. A mały wciąż płakał...

• • •

W domu wczasowym.

Szczęśliwa para małżeńska rozczula się nad swoim synkiem, zdrowym dwunastoletnim jedynakiem.

— Czemu nie jesz, Włodeczku? Zresztą, po co ciebie, biedulkę, zmuszamy — przecież to nie jest takie jedzenie, jak w domu. Więc chociaż wypij kawkę.

Włodeczek — basem:

— Czy to naturalna?

• • •

Wiejscy pionierzy spotykają się z pisarzem. „Słowa powitania" przygotował sam dyrektor, który teraz stoi cichutko na boczku i wygląda na takiego, który jest pewny swych najlepszych uczennic. Ale oto pierwsza z nich, najbardziej rezolutna, omyliła się:

— Proszę przyjąć najlepsze życzenia od tego oto bukietu...

Trzy następne powtórzyły za nią — słowo w słowo.

Dyrektor aż poczerwieniał.

Dlaczego?

• • •

Starzejący się aktor odwiedził szkołę.

Dopóki grzmiał swoim znoszonym już, skrzekliwym basem, siedmio- i ośmioklasiści chichotali z jego grymasów. Potem podpatrywali go przez niedomknięte drzwi, jak za kulisami częstował akompaniatorkę cukierkami, które wydostawał ze starej teczki — „niczym z torby końskiej" — a potem zmieniał obuwie, zamiast pantofli wkładając walonki. I obie jego skarpety miały dziury na piętach.

Ojciec jednej z uczennic opowiedział o tym w swoim zakładzie pracy. Jego kolega, okazało się, był sąsiadem aktora. Opowieść na wesoło powtórzył w domu, tylko żonie, kiedy ich mała pociecha już spała.

Nazajutrz mała, która „spała", spotkała basa na klatce schodowej:

— Wujku Bora, a dlaczego to u wujka wszystkie skarpety bez pięt, gdy wujek śpiewa?...

Przełożył Sokrat Janowicz
Fragmenty prozy poetyckiej z książki „Witraże"

Rys. E. Inglot

Kamena str. 11

Szczęśliwego Nowego Orleanu!

Maciej Podgórski

ROWER ukraść, królika ukraść, do kiosku się włamać... Tak, to grozi milicją, sądem, kuratorem sądowym, poprawczakiem, więzieniem. Ale żeby proszki czy krople? Przecież niejeden z nich zaczął już jako czternastoletni chłopiec — od tabletek, które wtedy sprzedawano w aptekach bez recepty. Więc łykali zbiorowo te proszki, preparowali i wstrzykiwali sobie nawzajem krople od paru lat, i nic. Aż tu nagle milicja wzywa raz i drugi, ostrzega, lecz i to jeszcze nic, choć temu i owemu poczęło przychodzić powolutku oprzytomnienie. A może by tak używki rzucić, podjąć zaniedbane edukacje szkolne, do pracy jakiej stanąć?

Wreszcie w maju zeszłego roku zostaje aresztowany Anioł (posługuję się pseudonimami, które sobie nadali). Wstrzykiwał pewnej dziewczynie spreparowane krople, rujnując jej system nerwowy, tak że usiłowała popełnić samobójstwo (pisaliśmy o tej sprawie w sierpniu ubiegłego roku w nr 16). Sąd rejonowy skazał sprawcę na dwa lata pozbawienia wolności. Mówiło się wówczas w Miasteczku, że sąd wojewódzki uchyli ten wyrok. Nie uchylił i Anioł poszedł siedzieć z mocy artykułu 161 kodeksu karnego: „Kto, nie będąc do tego uprawniony, udziela innej osobie środka odurzającego albo nakłania do zażywania takiego środka, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5".

Zdaje się, że wtedy na dobre zaświtało im w głowach. Tym bardziej, że następnie Mały, wyznający hasło: „Narkomani zawsze kłamią", stanął przed sądem za fałszywe zeznania w sprawie Anioła, został skazany na półtora roku ograniczenia wolności i musiał pójść do pracy. Toteż kolejny proces przeciwko chłopcom z Miasteczka (Aniołowi, Małemu, Krzyśkowi, Jarkowi, Bezemu, Derylkowi i Kopernikowi), toczący się w maju i kwietniu 1976 roku przed tym samym sądem rejonowym, jest już właściwie rozliczeniem ze starych grzechów, co najmniej sprzed roku, lub dwu lat, od kiedy — jak twierdzą — zarzucili używki.

W każdym razie oskarżeni — poza Aniołem odpowiadający z wolnej stopy — pracują, uczą się. Krzysiek ma pierwszorzędną opinię ze szkoły, Bezy i Jarek — niezłą, Mały, Derylek i Kopernik — gorszą, ale i w ich przypadku mówi się, że „nastąpiła pewna poprawa". Nawet Anioł, odsiadujący zeszłoroczny wyrok, podjął w zakładzie karnym naukę fachu murarsko-tynkarskiego, pracuje na budowach, zarabia „na wypiskę". Widzę go, jak siedzi w sali sądowej, króciutko przystrzyżony, ogorzały, spokojny...

Nie wolno mi myśleć, że oni wszyscy tylko się przyczaili i na razie wystarcza im sycenie się wyimaginowaną sławą smutnych bohaterów Miasteczka, podobnie jak kiedyś Anioł i Mały, najstarsi w tej grupie, którzy w 1974 roku samorzutnie zgłosili się do szpitala psychiatrycznego na leczenie w oddziale odwykowym dla narkomanów, gdyż pobyt w „Wariatkowie" to bardzo ważna „sprawność" w ich grupowych układach. Bądź co bądź teraz już wiedzą, iż grozi im nie tylko odpowiedzialność z art. 161 kodeksu karnego, lecz również z art. 29 i 30 ustawy z 8 stycznia 1951 roku, która za przerabianie, bez zezwolenia, środków odurzających przewiduje karę do pięciu lat pozbawienia wolności i grzywnę, natomiast za używanie środka odurzającego w towarzystwie innej osoby — karę aresztu do roku i grzywnę, lub jedną z tych kar.

Zaczęli używać te środki w latach 1971—1973, zależnie od wieku. Wakacje nad jeziorem Firlej lub na Mazurach. Jacyś starsi chłopcy z Warszawy, ze Śląska, z Gdańska, którzy coś tam mówią o „hippisach", podsuwają proszki, coś mówią o „pacyjistach", podsuwają proszki... Zadecydowała ciekawość — jak to będzie? Wrócili do Miasteczka i potem jeden edukował drugiego. Kiedy w aptekach zaniechano sprzedaży używek bez recepty, na pierwszy ogień poszły domowe apteczki, a nieraz i... szkolne. Potem różnie. Anioł i Krzysiek fałszowali stare recepty (art. 265 § 1 kodeksu karnego). Derylek zaopatrywał siebie i kamratów za pośrednictwem 13-letniego chłopca, syna kierownika miejscowej apteki. Malec wyciągał z otwartej szuflady aptecznej fiolki z proszkami, a Derylek stawiał mu lody, cukierki, dał latarkę, stare monety, raz nawet własne kieszonkowe. Aptekarz powiada, że u niego wszystko w porządku. Syn aptekarza — iż nie brał żadnych proszków. Rozliczenie za okres: 18 XII 1973 r. — 28 I 1975 r. wskazuje, że z apteki tej zginęły 1064 sztuki proszków, o jakich mowa, a zwanych przez chłopców „pastą".

Spotykali się pod kolumnadą zabytkowego pałacu, w parku, chodzili na dyskoteki do klubu „Zgoda", gdzie przed zabawą połykali w ubikacji proszki, wstrzykiwali sobie spreparowane krople. Wagarowali, rzucali szkołę, jeździli

SAMORZĄD W DZIELNICY

Dokończenie ze str. 10

budek przy ul. Gospodarczej do domów spółdzielczych, postarać się, aby nie żądano od nich zbyt długiego stażu członkowskiego. Bez tego nie można uporządkować terenu przy starym targowisku. W tej sprawie także nie wszystkie pozytywne decyzje są respektowane.

A więc: jest samorząd na Tatarach i gdzie indziej w pełni samorządny, czy też nie? Zrobił wszystko, co do niego należy? Najprościej odpowiedzieć: i tak, i nie zarazem.

Cieszyć musi, że jest to dzielnica dość spokojna, że komisje pojednawcze pogodziły wielu sąsiadów. Równocześnie jednak ponad 6 tys. młodzieży ma do dyspozycji jedynie skromny klub FSC i ubogie kino „Przyjaźń". Budowa domu kultury z udziałem finansowym FSC nie wychodzi poza wskrzeszane od czasu do czasu rozmowy, choć zaczęto je już w 1961 roku. A może Dworek Grafa przekształcić z deficytowej knajpy w dom kultury? Miejsc z wódopojami jest na Tatarach dosyć. Równocześnie działaczom samorządu marzy się dom po starym Zajeździe, zwanym w tradycji Czerwoną Karczmą, którą zresztą już dawno pobielono. Tak, ale skąd nagle wziąć mieszkania dla 18 rodzin? W Dworku Grafa i w Zajeździe mogłaby spędzać wolne chwile młodzież, ludność Tatar i części Kalinowszczyzny. Starczyłoby miejsca także dla samorządu, organizacji społecznych dzielnicy, można by rozwijać życie kulturalne i sportowe. Sąsiedztwo przez ulicę tych dwu zabudowań sprzyjałoby współpracy.

Kiedy chodzę po Tatarach widzę, jak wiele tam zrobiono, a równocześnie jak mało...

Tadeusz Jasiński

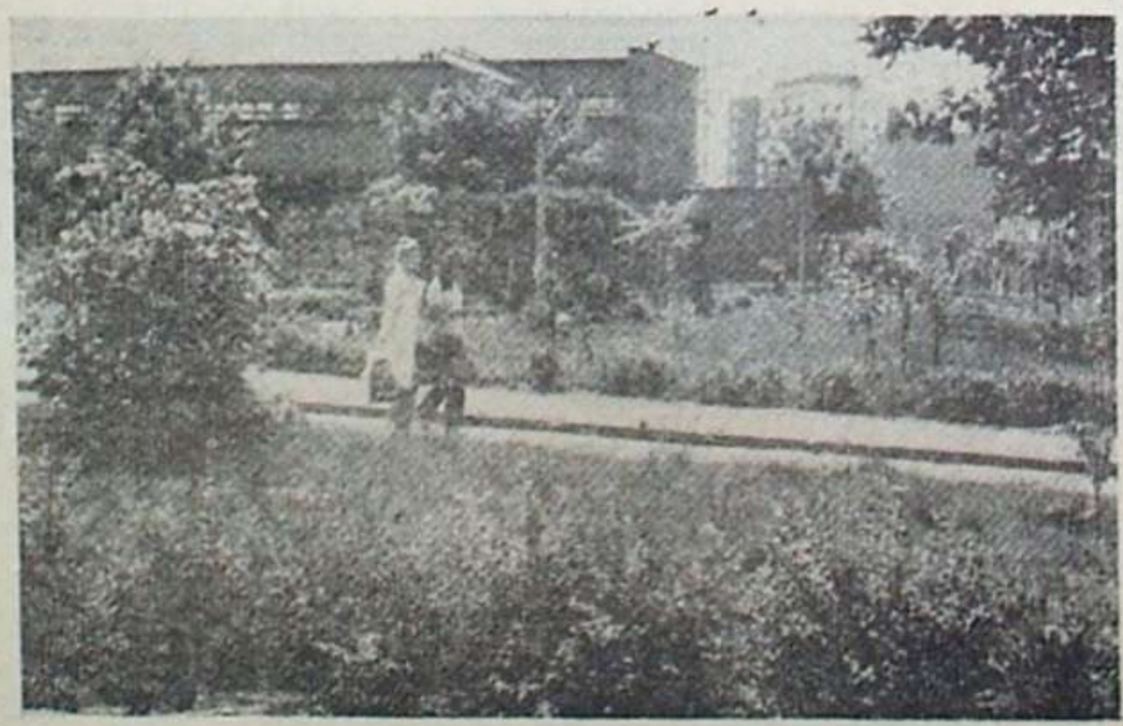

Tatary — fragment osiedla przy ul. Kresowej
Fot. J. Huzar

Kamena str. 12

Dokończenie ze str. 10

cie, w końcu sierpnia, wyczułam już wojnę w powietrzu. W Instytucie nie zastałam nikogo oprócz jednej pracownicy, urzędującej w hallu. Nikt z samorządu ani z dawnych członków Zarządu Biblioteki, ani z Instytutu, nie interesował się losem Biblioteki.

Pierwszego września Lublin przeżył pierwsze bombardowanie (na Kośminku), dziewiątego bomba spadła na prawe skrzydło Muzeum, gdzie znajdowały się zbiory przyrodnicze. W naszej czytelni na parterze i w części, gdzie mieścił się księgozbiór, wyleciały niemal wszystkie szyby i było pełno gruzu. Tego dnia zbombardowano także kamienicę pod nr 13 (Narutowicza) naprzeciwko Biblioteki i kilka budynków przy ul. Niecałej (dzisiejszej Sławińskiego).

Z wielkim trudem, we dwie z Zosią, uprzątnęłyśmy z grubsza magazyn i salę czytelniczą z gruzu i szkła. W tym czasie przychodziło już sporo ludzi, by dowiedzieć się, kiedy zacznie działać Biblioteka. Kilka dni po bombardowaniu niespodziewanie zapowiedziano, że w sali na drugim piętrze Instytutu odbędzie się posiedzenie Sejmu. Uprzątnięto salę, postawiono stoliki i krzesła — jednak posiedzenie nie odbyło się. Natomiast wieczorami prawie codziennie przybywały wozy, naładowane skrzyniami, które lokowano w naszych pokojach kancelaryjnych lub w głębokiej piwnicy, znajdującej się w końcu ogrodu bibliotecznego. Nazajutrz skrzynie jechały w dalszą drogę, a nowe przybywały. Jaka była zawartość skrzyń? Podobno były to książki, rękopisy i inne cenne rzeczy z Pomorza. Tylko raz jeden kazano opróżnić skrzynie i zabrano je napełnione resztkami zbombardowanego działu przyrodniczego Muzeum.

Niemcy weszli do Lublina 18 września. Przed ich przyjściem wycofaliśmy z księgozbioru wszystkie książki, które mogłyby ulec zniszczeniu, takie jak „Rocznik polityczny", Wańkowicza „Na tropach Smętka" i wiele innych wartościowych, a także ich „dowody osobiste" — kartki katalogowe. Sporo osób, dawni czytelnicy i nowi, nadal przychodzili z zapytaniem, kiedy czytelnia otworzy swoje podwoje. Działalność tę zaczęła w końcu września. Ludzi było dużo. Praca szła jakby w trybie normalnym.

Jednak któregoś dnia wieczorem pod dom, gdzie mieszkałam, podjechało auto, a w nim dwóch gestapowców z Warszawy. Kazali mi wziąć klucze do Biblioteki i jechać razem z nimi. Urzędowali w Bibliotece przez dwa dni. Dokładnie przejrzeli katalogi, pytali też, czy miejscowe władze niemieckie nie miały chęci na coś, co stanowi własność Biblioteki. Odpowiedziałam, że było kilka wypadków, gdy poszczególne osoby zażądały drobnych upominków w postaci książki. W odpowiedzi na to dostałam glejt, który zezwalał na odmowę wydania jakiejkolwiek książki „bibliofilom" niemieckim.

Gestapo lubelskie okazało się mniej życzliwe. Dobrze pamiętam dwóch: jeden nazywał się Heintz, drugi Wolf. Przez pewien czas przychodzili prawie codziennie, rewidowali katalogi, zaglądali do magazynu, ale szczególnie inwigilowali moją osobę. Heintz badał mnie, zadając szereg pytań, jak na przykład: Co pani wie o Hitlerze? Co pani myśli o Niemcach? Czy się pani ich boi? Do jakiej partii pani należy? Następowało długie przemówienie o tym, jaką potęgą są Niemcy hitlerowskie, głosem tak podniesionym i ostrym, jakby chciał mnie nim zmiażdżyć.

Pewnego dnia obaj wpadli do czytelni, kiedy było szczególnie dużo osób, i zaczęli sprawdzać, co ludzie czytają; niektórych rewidowali. Wśród czytelników znajdował się pewien profesor z Poznania — Żukowski. Dał mi znak ręką, bym się zbliżyła i wręczył mi zeszyt — dziennik prowadzony od chwili wybuchu wojny. Udało mi się przenieść zeszyt poza obręb rewizji. Było to 12 grudnia 1939 r. W rezultacie rewizji wszyscy musieli opuścić lokal, a Bibliotekę zamknięto.

Od tego dnia zaczęłam codziennie chodzić do Inspektoratu, do radcy Hanemana, z prośbą o otwarcie Biblioteki. W czasie starań ktoś mi poradził, bym się zwróciła do pracownika Abteilung Propaganda — Ludwiga. Poprzednio widywałam tego kulawego gestapowca w Muzeum, nad którym polecono mi również pieczę — gdyż tam nikt nie urzędował. Ludwig był jednocześnie właścicielem księgarni na Krakowskim Przedmieściu, w lokalu, gdzie obecnie jest sklep Wedla. Kiedy dowiedział się, że zależy mi na otwarciu

W obronie

autostopem nad Firlej, gdzie znowu „pasta" i krople. Dostarczali sobie nawzajem używek. Towarzyszące im dziewczyny częstowali, nie tylko winem. Złudne, młodzieńcze poczucie „buntu" i „swobody", brak odpowiedzialności za cokolwiek. Jedna z dziewcząt przechowywała kartkę z napisem: „Najgorszym cierpieniem jest miłość bez wzajemności. Kochajcie kwiaty i słońce, bo kochać ludzi jest nie warto, ich serca są bardzo drwiące. Tylko głupcy nie umieją kochać". Młodzieńczy „smutek kosmiczny". Nazywali siebie „hippisami".

Jak im było po zażyciu „narkotyku"? Ten poczuł się pijany, tamten — tylko otępiały i zmęczony, inny miał zwidy i „zerwany film", ktoś dostał krwotoku, jedna miała drgawki, komuś zrobiło się smutno i nudno...

Więc z początku chcieli spróbować, jak to jest. Reagowali rozmaicie, ale przyjmowali używki nadal, gdyż taka ich „hippisowska" powinność i zbiorowy sposób bycia.

Jacy z was hippies, pożal się boże!? Ruch ten powstał w latach sześćdziesiątych na Zachodzie i kontestował zupełnie inne społeczeństwo niż nasze. Od paru ładnych lat zresztą dawni hippies ścięli długie włosy, które przestały być modne, połatane dżinsy zamienili na konwencjonalne garniturki o szerokich klapach i stali się godnymi urzędnikami lub biznesmenami. Wasza zabawa pozostaje tylko pustym gestem, zewnętrznym uniformem, który przykrywa waszą słabość. Spóźniona, prowincjonalna błazenada. Bo przeciw czemu protestujecie? Przeciwko temu, że należy się uczyć i pracować? Przeciw domkom jednorodzinnym, trzypokojowym mieszkaniom, które wasi rodzice zdobyli po latach ciężkiej harówy? Chodząc uliczkami waszego Miasteczka, słyszę, jak niektórzy z was pozdrawiają się: „Szczęśliwego Nowego Orleanu". Jest w tym coś z poczciwej rodzimości i prowincjonalnej tęsknoty za „wielkim światem". Śmieszne, bo żeby uszczknąć tego świata, trzeba żyć inaczej niż oni.

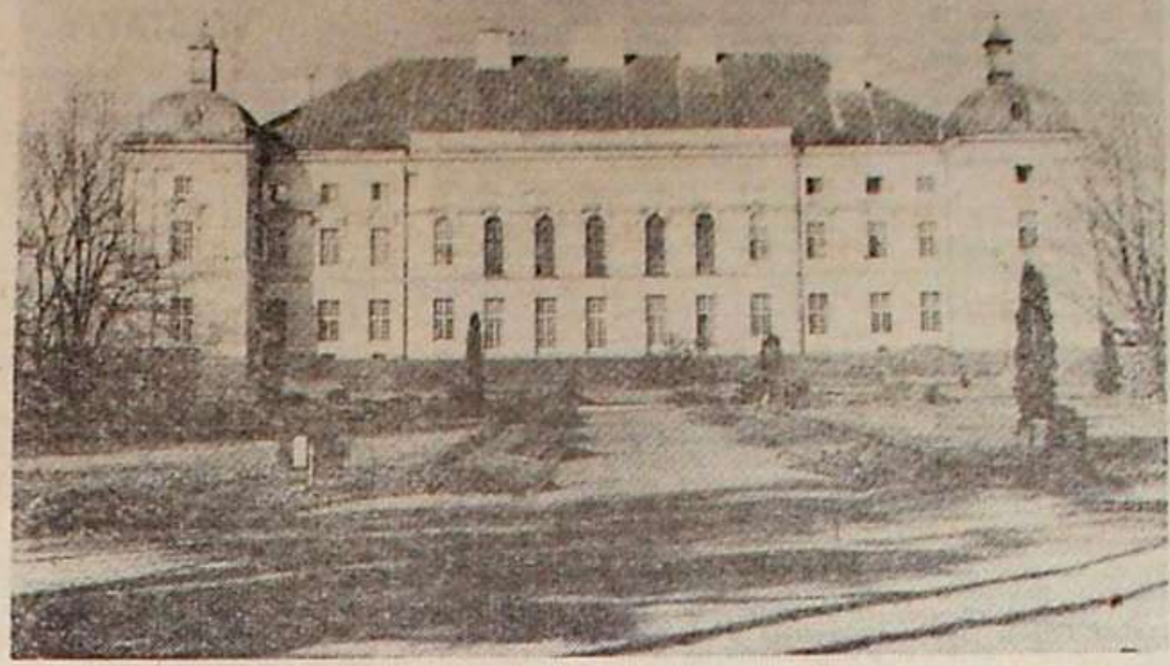

Fot. J. Stępień

Oczywiście, tych siedmiu chłopców odpowiadających przed sądem różni się między sobą. Poziomem rozwoju umysłowego, inteligencją, wiekiem (są między 18 a 22 rokiem życia). Osobowości wyjątkowo infantylne i dojrzalsze. Charaktery o skłonnościach przywódczych i kobiece niemal, narcystyczne (dwu nosi coś na kształt makijażu, damskie ciuszki jakby). Ale gdy przyjrzeć się dokładniej ich krótkim biografiom — łączy je jedna stara jak świat sprawa: zaniedbania wychowawcze w domu rodzinnym.

Czyjś ojciec, hutnik dorabiający jako murarz, nigdy nie miał dla syna czasu, a matka umarła trzy lata temu, przedtem długo chorowała. Czyjś ojciec umarł, gdy syn liczył 18 miesięcy, a matka — urzędniczka ciężko zapracowana, bo jeszcze jeden syn na utrzymaniu. Czyjś ojciec odszedł przed siedmiu laty i założył nową rodzinę, syn został przy matce. Kogoś rodzice kłótliwi, ojciec tylko wrzeszczy na syna, a w wolnych chwilach hoduje... króliki. Kogoś rodzice nie interesują się potomstwem i szkoła pisze, że nie mają wpływu na syna, choć jeść i kieszonkowe dają.

W takich warunkach wychowywani chłopcy (nie mówię o sytuacji materialnej, bo ta na ogół dobra) hodują w sobie jakieś kompleksy słabości, nerwice, ciągłą potrzebę akceptacji własnej osoby (dlatego tak bezkrytycznie ulegli „hippisowsko-narkomańskiej" modzie). Nieśmiałość, brak swobody usiłują kompensować używkami (dlatego najczęściej pomagali sobie proszkami i kroplami przed dyskoteką i zabawą szkolną). Udawany wystrój „hippisowski", programowy niby brak aspiracji ma skrywać słabość, nieumiejętność, małą siłę życiowego przebicia. Chcieliby, ale boją się, że mogą się nie sprawdzić! Dlatego z góry rezygnują! Dobrze przynajmniej, iżby wiedzieli, jacy są. I jeszcze żeby wiedzieli, iż są marginesem, bo wokół nich tysiące chłopców i dziewcząt żyją normalnie.

biblioteki

Biblioteki, wezwał mnie do Abt. Propaganda. Wyłuszczyłam swoją prośbę nadmieniając, że Bibliotekę trzeba otworzyć, chociażby dla pracowników, którzy czuwaliby nad księgozbiorem, bo szereg okien w magazynie nie miało szyb. Ludwig wysłuchał mnie dosyć życzliwie i zaproponował otwarcie Biblioteki na jeden tydzień, w zamian za wybrane przez niego encyklopedie, słowniki, historię literatury niemieckiej, francuskiej, angielskiej. Zgodziłam się, przyrzekając w duchu, że jednak nic nie otrzyma.

Sprawę rozstrzygnął przyjazd referenta oświatowego dystryktu — Brandla, wiedeńczyka, który miał mieć pieczę nad wszystkimi bibliotekami. Bibliotekę otwarto jednak dopiero w czerwcu 1940 r., dzięki zabiegom radcy archiwalnego Rohlanda Seeberga — Erwalfeldta, który, jak się po tym okazało, był b. wrogo usposobiony do Brandla. Do otwarcia przyczynił się także Kurth Luck, gestapowiec korzystający z Biblioteki w początku r. 1939. (Pisał o osiedlach niemieckich na Chełmszczyźnie). Brandl był ukrainofilem i dyrektorem Biblioteki wyznaczył nacjonalistę ukraińskiego Czykalenkę.

Pracowałam przy Brandlu zaledwie kilka miesięcy. W tym okresie trwała ciągła walka pomiędzy Brandlem i Seebergiem. Brandl nalegał, abym opuściła Bibliotekę, Seeberg polecał zostać. Nie wiem, co Seeberg zarzucał Brandlowi, w każdym bądź razie nie miał do niego zaufania. Celem rozstrzygnięcia między nimi sporu zjechała z Warszawy komisja. W rezultacie zostałam z Biblioteki usunięta. Wkrótce odwołano ze stanowiska i Brandla.

Dlaczego musiałam odejść? Profesor Leon Białkowski powiedział mi, że m. in. przyczyną mego usunięcia było podejrzenie iż ukryłam biblię Gutenberga, która była przywieziona do Lublina i nie wiadomo, gdzie się potem znajdowała. Co prawda w czasie tych kilku miesięcy w 1940 r. zdążyłam wynieść z Biblioteki najcenniejsze druki: niektóre encyklopedie, słowniki, wydawnictwo „Wiedza o Polsce", druki z oficyny Tyszkiewicza we Florencji i wiele innych. Umieściłam to wszystko w Rynku, w kamienicy nr 12 (Konopniców), gdzie złożyłam również część moich rzeczy osobistych.

Opuściłam więc Bibliotekę, zostali tam jednak oddani mi ludzie — Zosia Polakówna i Bolesław Banach, pracownik Biblioteki Pedagogicznej.

Biblioteka Pedagogiczna zaraz po wejściu Niemców do Lublina została formalnie wyrzucona na ulicę i znalazła przytułek w gmachu Instytutu w pokojach na parterze. Banacha wkrótce zabrał Brandl do Biblioteki im. H. Łopacińskiego, do magazynów. Umówiłam się z Banachem, że będzie mnie powiadamiał o wszystkim, co się będzie w Bibliotece dziać. Otóż pewnego dnia Banach w tajemnicy doniósł mi, że w najbliższych dniach mają wywieźć do Chełma 8000 książek, należących niegdyś do bibliotek klasztornych w Chełmie. Krytycznego dnia przed godz. 8 rano, kiedy oprócz Zosi i Banach nie było nikogo, weszłam do Biblioteki, zamknęłam drzwi do księgozbioru, zabrałam klucz i prędko wbiegłam na drugie piętro do Archiwum (którego pewna część mieściła się wówczas w sali wystawowej). Był tam dyrektor L. Białkowski. Wkrótce wpadł Czykalenko, krzyczał, złościł się, groził policją, którą już powiadomił Brandl. Odpowiadałam, że nie wiem o żadnym kluczu! Klucz udało mi się oddać Banachowi z prośbą o podrzucenie go pod którąkolwiek szafę, sama zaś zdecydowałam się biec do Seeberga. Przyznałam się mu szczerze do wszystkiego. Jak to dobrze, że między Niemcami istniały antagonizmy! Seeberg oświadczył: zaraz idziemy i zapieczętujemy księgozbiór. I tak się stało. Zwolniono jednak Banacha, ale przyjęto go z powrotem na skutek prośby dyrektora Białkowskiego, po dwóch tygodniach, a ja ze swej skromnej pensji (120 zł) krzywdę Banacha naprawiłam.

Heintz wzywał mnie kilkakrotnie do Gestapo, rozpytywał o księgozbiory lubelskie i polecił mi napisać dokładne sprawozdanie z działalności Instytutu Lubelskiego. Napisałam względnie obszerne, lecz puste w treści. Poza tym powiedział, iż wie, że znam dobrze język rosyjski, więc mam go uczyć rosyjskiego. Z trudem wymówiłam się brakiem czasu. Moja rodzina wciąż była w obawie, że w końcu mnie aresztują, szczególnie, gdy zmuszona byłam chodzić do Gestapo. Ludwig kilkakrotnie obiecywał mi: „Ja panią zgnoję w więzieniu". Udało mi się jednak objąć pracę w Archiwum Miejskim. Kierowniczka Archiwum Maria Dobrowolska, została aresztowana i wywieziona do Niemiec. Ale to już osobna karta mojego życia.

Kazimiera Gawarecka

HOROSKOPY

Ważne od 31 maja do 13 czerwca

BARAN
21 III—18 IV

Nieco pomyślniejszy okres w twoim życiu. Niektóre osoby spod znaku Barana mogą się teraz spotkać z interesującymi propozycjami. Należy działać bez pośpiechu, bo w tym wypadku nie jest on wskazany.

BYK
19 IV—20 V

Trudności w pracy (nauce) są chwilowe, ale lekceważyć ich też nie należy. Zastanów się, czy nie jesteś po prostu przemęczony(a). Stanowczo za wiele palisz.

BLIŹNIĘTA
21 V—20 VI

Dlaczego marnujesz czas na lekturę bezwartościowych książek? Na nadmiar wolnego czasu nie możesz przecież narzekać. Nowa znajomość jest dość interesująca, ale z jej powodu możesz mieć pewne nieprzyjemności. Obdarzasz uczuciem ludzi (a to już nie pierwszy wypadek), którzy nie idą przez życie samotnie.

RAK
21 VI—22 VII

No, nareszcie się trochę ustatkowałeś(aś), toteż i przykrości mniej. List, na który tak długo czekasz, w drodze, ale jego treść nie będzie taka, jak sądzisz. Nadprogramowa praca przyniesie ci nie tylko dodatkowe wynagrodzenie, ale i dostarczy pewnych przyjemności.

LEW
23 VII—22 VIII

Trochę się lenisz ostatnio. Stałeś(aś) się zbyt arogancki, uważasz, że wszystko właśnie ty robisz najlepiej, a przecież sam(a) dobrze wiesz, że to nieprawda. Kłopoty domowe również wynikają i z twojej winy: ustępliwość nie leży w twojej naturze. Zastanów się nad swoim postępowaniem, przede wszystkim dla własnego dobra.

PANNA
23 VIII—22 IX

Patrz na życie bardziej optymistycznie! Ostatecznie nie masz się czym zbytnio przejmować. Urlop powinien ci przynieść wiele radości; jeśli tylko jest to możliwe, weź go jak najszybciej. W stosunkach domowych wykaż więcej tolerancji.

WAGA
23 IX—22 X

Czerwiec zapowiada się jeszcze pomyślniej i teraz wszystko zależy wyłącznie od ciebie. Nie baw się jednak w plotki, bądź bardziej powściągliwy(a) w mowie, ludzie nie lubią, jeśli się nimi zbytnio ktokolwiek interesuje. A tę znajomość, która tak cię zafrapowała, warto kontynuować.

SKORPION
23 X—21 XI

Niepotrzebnie się często irytujesz, strzępisz nerwy sobie i innym. Ale „skorpiony" mają teraz niezły okres życia, zwłaszcza, że wielu spośród nich spotkały przyjemne niespodzianki. Nie wolno jednak zapominać o pracy (nauce) i nie wolno rozmieniać się na drobne.

STRZELEC
22 XI—21 XII

Tym razem ci się udało, ale nie zawsze będzie dopisywać szczęście. O szczęście trzeba walczyć, a ty wszystko pozostawiasz losowi. Zaczynają o tobie mówić „ciepłe kluski". Pierwsza dekada czerwca będzie dość pomyślna.

KOZIOROŻEC
22 XII—20 I

W domu właściwie bez zmian, a nawet gorzej niż lepiej. Prowadzisz podwójne życie, a wreszcie czas się zdecydować na jasne postawienie sprawy. W gruncie rzeczy męczysz i siebie i tę drugą stronę.

WODNIK
21 I—18 II

Chmury gromadzą się na horyzoncie. Może to zmartwienie na zapas było jednak potrzebne. Zachowaj spokój, nie daj poznać po sobie, że orientujesz się w sytuacji. Rzecz powinna się wyświetlić, choć będzie cię kosztować trochę nerwów.

RYBY
19 II—20 III

Dobrze, naprawdę dobrze. Nie rozszczepiaj tylko włosa na cztery części i nie szukaj dziury w całym. Może po latach właśnie ten okres swego życia ocenisz jako najszczęśliwszy? Jeśli zaś chodzi o obowiązki służbowe, musisz wykazać nieco większą odpowiedzialność. Szef innym zleca to, co powinno należeć do ciebie.

Stella

ODPOWIEDZI STELLI

Jerzy K. z Białegostoku prosi mnie o podanie, jaki jest szczęśliwy dzień dla Wodnika. Sobota. A najlepsza miłość? Ja bym radziła znajomość z dziewczyną spod znaku Lwa. Nie ma jednak reguły bez wyjątków...

kultura 1976

WYZNANIA

● „Dzisiejszy teatr podąża szybko naprzód. Szukamy nowoczesności w formie wyrazu artystycznego. Jedni dążąc do tego posługują się rzetelnymi zdolnościami, szlachetnym talentem, są jednak tacy, którzy pozorując nowoczesność — uprawiają hocnsztaplerstwo. Im mniej ktoś umie, tym chętniej pozuje na nowoczesność. Moim zdaniem najważniejszą sprawą jest opanowanie warsztatu aktorskiego, od tego powinno się zaczynać (...) Skąd czerpię wzory? Z życia. Mam otwarte oczy na otaczający świat. Aktor ma obowiązek obserwacji, musi stale pracować nad sobą. Suma doświadczeń wzbogaca wnętrze człowieka. Dotyczy to każdego artysty — plastyka, muzyka, aktora" (Tadeusz Fijewski — PAP).

● „Aktor istnieje po to, żeby mieć swoich zwolenników. Kiedy są oni nachalni, nie jest to miłe, ale jeśli delikatni, poznają go, uśmiechają się życzliwie — jest to bardzo miłe. Najcudowniejsze są spotkania w cztery oczy, kiedy precyzowane są pytania, a nawet zarzuty. Oczywiście bez prawienia złośliwości. Wyciągam wnioski z każdej dyskusji. Pozwalają mi one lepiej przygotować rolę, coś zmienić na przyszłość w sposobie mojej gry" (Mieczysław Kalenik — „Sztandar Ludu").

● „Mówi się o dwóch metodach twórczych: jedna nakazuje pisać co dzień, druga tylko wtedy, kiedy nie można obejść się bez pisania. Ja, oczywiście, jestem zwolennikiem tej drugiej. Zamiast zasiadać codziennie do pisania, wolę zajmować się wioślarstwem, wziąć do ręki młotek, łopatę, obcęgi lub jakiekolwiek narzędzie. Kiedy natomiast odczuwam potrzebę pisania, mogę pracować nawet przez dwa miesiące po 15 godzin dziennie. Dużo np. pracowałem w 1974 roku — w ciągu dwóch miesięcy napisałem 85 utworów. Na pewno nie wszystkie były udane, ale czy ktokolwiek pisał tylko dobre wiersze?" (Jewgienij Jewtuszenko — „Niedziela").

OBYCZAJE

● To się zdarzyło po raz pierwszy: w Los Angeles wystawiono na sprzedaż złoty medal, jaki wręcza się laureatom Nagrody Nobla. Jego wartość jako kruszcu wynosi 2 tys. dolarów, ale sprzedawca zażądał 15 tys. dolarów, tłumacząc to „numizmatycznymi i pamiątkowymi walorami medalu". Jak wynika z napisu, medal ten należał do laureata Nagrody Nobla w dziedzinie chemii sir Cyrila Normana Hinshelwooda.

● W Wielkiej Brytanii co tydzień ukazuje się 45 tytułów komiksowych w łącznym nakładzie 21 mln egzemplarzy. Liczba czytelników w ostatnich trzech latach podwoiła się. „Daily Mail" twierdzi że czytanie komiksów jest swoistą ucieczką od szarej rzeczywistości w kraj ułudy, w którym wszystko zawsze kończy się dobrze.

● Dlaczego turyści tak chętnie przyjeżdżają do Francji? Mistrz rondla z Lyonu, Bocuse, twierdzi: „Być może, aby zwiedzać słynne zamki nad Loarą, niewykluczone, że muzea, zdarza się, że chcą podziwiać krajobraz. Ale bez żadnej wątpliwości przede wszystkim dlatego, że chcą dobrze zjeść" Warto dodać, że najlepsza kuchnia francuska jest podobno w Lyonie, a nie w Paryżu, natomiast w stolicy odbyła się ostatnio wielka manifestacja kucharzy, którzy twierdzili, że zasługują na znacznie większe uznanie i zarobki, ponieważ przysparzają krajowi najwięcej dewiz.

● Przewodnicy po Rzymie mają całkiem poważne zmartwienie. Jako datę narodzin tego miasta podawano rok 753 przed naszą erą, związany z legendą o Romulusie i Remusie, których wykarmiła wilczyca. Tymczasem otwarta ostatnio wystawa archeologiczna wykazuje, że Rzym powstał przynajmniej dwieście lat wcześniej — co albo pozbawi przewodników możliwości opowiadania nieaktualnej już legendy, albo zmusi ich do stworzenia nowej.

ROCZNICE

● „Express Wieczorny" jest pismem warszawskim, redagowanym przede wszystkim dla warszawiaków. Ale czyta go cała Polska. I nie tylko dlatego, że po wojnie wielu warszawiaków osiedliło się w różnych miejscowościach. Czytają go dlatego, że w lapidarnej formie podaje szybko i przystępnie najświeższe wiadomości, że przeprowadza wiele akcji, które potem podchwytywane są przez inne pisma. Nakład „Expressu" wynosi 600 tys. egzemplarzy — i prawie wszędzie go brakuje. Z okazji 30-lecia pisma przesyłamy zespołowi redakcyjnemu gratulacje za przeszłość i najlepsze życzenia na przyszłość.

● Osiemdziesiątą rocznicę urodzin obchodził pisarz NRD Wieland Herzfelde. Początkowo był związany z dadaizmem. Po dojściu Hitlera do władzy wyemigrował do Pragi, potem przez 10 lat mieszkał w USA, gdzie współpracował z prasą postępową, oraz Henrykiem Mannem i Bertoltem Brechtem, a także założył wydawnictwo „Aurora". Po wojnie wrócił do ojczyzny, pisał i był wydawcą, a także wykładał socjologię i literaturę na uniwersytecie w Lipsku.

● Znany niemal we wszystkich krajach Europy Północny Rosyjski Chór Ludowy w Archangielsku obchodzi 50-lecie istnienia. Powstał jako zespół grupujący 12 śpiewaczek, dziś posiada wspaniały chór z grupą solistów, balet i orkiestrę instrumentów ludowych, a także własne studium kształcenia młodych kadr. Propaguje pieśni i tańce z regionów nad Morzem Białym.

● Towarzystwo Miłośników Bytomia istnieje zaledwie 10 lat, ale liczy prawie 4 tys. członków, a jego działalność wspiera finansowo i w inny sposób 28 zakładów pracy. Towarzystwo prowadzi akcję wydawniczą, koncerty muzyczne, plenery malarskie oraz opiekuje się zabytkami miejskimi i miejscami pamięci narodowej. Gdyby tak w każdym mieście...

WYSTAWY

● Kto będzie w Warszawie lub Krakowie powinien zwiedzić każdą z omawianych niżej wystaw. Pierwsza w Bibliotece Narodowej poświęcona jest Henrykowi Sienkiewiczowi w 130 rocznicę jego urodzin i 60 rocznicę śmierci. Wśród wielu rękopisów i autografów szczególnie ciekawe są jego listy z ostatnich lat życia, pisane do Ignacego Paderewskiego oraz Ignacego Chrzanowskiego. Można też zobaczyć mało znaną rzecz: ankietę o wywłaszczaniu ludności polskiej w Poznańskim, rozesłaną przez Sienkiewicza w formie listu (w języku francuskim) do wielu pisarzy, publicystów i polityków różnych krajów, a także autograf artykułu o wynikach tej ankiety. Ponadto dzieła autora w 130 wydaniach w różnych językach świata, nieznane jego fotografie oraz militaria.

● Druga wystawa zajmuje pięć sal w Zamku Królewskim na Wawelu. Jest to międzynarodowa wystawa pod nazwą „Sztuka dworu Wazów w Polsce" Międzynarodowa, bo zorganizowana przy współpracy Muzeum Historycznego w Sztokholmie W sumie około 300 dzieł sztuki z muzeum w Warszawie, Sztokholmie, Upsali, Monachium, Wiedniu i Nowym Jorku. Do unikalnych pamiątek należą własnoręczne prace pierwszego panującego w Polsce Wazy, który był — prywatnie — złotnikiem, malarzem i snycerzem.

TEATR

● Zasłużony dla naszego regionu Teatr Ziemi Podlaskiej obchodzi 30-lecie swojej działalności. Z tej okazji odbyło się spotkanie wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych z zespołem, który został wyróżniony dyplomem honorowym ministra Kultury i Sztuki. Wieloletni członkowie Janina Gabor i Tadeusz Cybulski otrzymali odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, a kilkanaście osób dyplomy honorowe ministra Kultury i Sztuki, nagrody pieniężne i medale 500-lecia Białej Podlaskiej. Na spotkaniu pokazano fragmenty dwóch znajdujących się obecnie w repertuarze sztuk — „Zemsty" i „Grzechu".

● W tych dniach istniejący już dwa lata warszawski Teatr na Targówku wystąpi z premierą etiudy do musicalu pt. „O zachowaniu się przy stole" A. Bianusza, w roli głównej — Danuta Rinn, co niewątpliwie przyczyni się do wielkiego powodzenia tego spektaklu. Jak mówi dyrektor M. Jonkajtys — a o czym marzył zmarły niedawno Kazimierz Rudzki — Teatr na Targówku coraz bardziej staje się sceną muzyczno-estradową, jedyną tego rodzaju w kraju.

● Maurice Béjart, twórca „Baletu XX wieku", tworzy nową grupę pod nazwą „Yantra", która ma być eksperymentalnym teatrem tanecznym nadchodzącego XXI wieku. „Yantra" oznacza figurę geometryczną, zaczerpniętą ze starohinduskich podręczników wiedzy o bóstwach i praktyk magicznych. Pierwszą „kompozycją" ma być rodzaj studium opartego na sztuce zmarłego przed 28 laty Antonina Artauda, francuskiego poety, prozaika i teatrologa. Sztuka m. in. będzie pokazana we wrześniu na święcie „L'Humanité", a potem Béjar chce z nią pojechać do Moskwy.

MUZYKA

● Znany i u nas Państwowy Akademicki Zespół Choreograficzny „Bierioźka" z Moskwy wystawił nowy program, który oprócz wielu tańców — kilka z tzw. żelaznego repertuaru przetrwało nadal — obejmuje także po raz pierwszy kilka obrazków choreograficznych Pozwala to artystom na pokazanie ich pełnego talentu nie tylko tanecznego, ale i aktorskiego. Dodajmy przy okazji, iż istniejący 28 lat zespół występował już w 59 krajach świata, wszędzie wzbudzając entuzjazm widzów.

noty i notki

Kierownictwo Ekspozytury Banku PKO w Lublinie bardzo dba o swoich pracowników. Dla tych, którzy nie mogą pozbyć się nałogu palenia papierosów, urządziło palarnię — w mikroskopijnym przejściu pomiędzy jednymi a drugimi drzwiami wejściowymi dla klientów. Aby zaś do końca przestraszyć palaczy, zawiesiło tam kartkę z kolorowym napisem, że wypalenie jednego papierosa skraca życie o całe 15 minut. Jak sobie wyliczyłem, zamiast zbliżać się do emerytury, mógłbym być na studiach.

●

Nie tak dawno w lubelskiej dzielnicy RDM były dwie pralnie, z których każda przyjmowała czyszczenie garderoby na ekspres. W ramach tzw. integracji usług jest teraz tylko jedna, która czyszczenia ekspresowego nie przyjmuje, odsyłając klientów aż na koniec ulicy Narutowicza. Klient nasz pan, a panowie lubią wojażować — więc niech wojażują.

●

Od pewnego czasu „Kurier Lubelski" codziennie na pierwszej stronie zamieszcza rubryczkę pt. „Co piszą inni", ale ci „inni" to prawie wyłącznie „Express Wieczorny" i „Kurier Polski". A tymczasem np. z „Dziennika Zachodniego" można się było dowiedzieć, iż trener kolarzy przełajowych fałszował listy płac, sprzedawał za granicą różne rzeczy należące do ekipy itp. — co napisali w liście do redakcji sami kolarze.

●

Jeżeli już jesteśmy przy sporcie, to solidny przyczyek należy się działowi sportowemu „Sztandaru Ludu". Jak wiadomo, każdy klub odpowiada za zachowanie się kibiców na jego boisku. Ale co ma zrobić klub, jeżeli najpopularniejszy na naszym terenie dziennik niemal za każdym razem, gdy nasze drużyny przegrywają, pokaźną częścią winy obciąża rzekomo stronniczego sędziego? W nr 111 przeczytałem np. w sprawozdaniu z meczu Zawisza — Motor, że „gospodarze nie przebierali w środkach; grali ostro, momentami wręcz brutalnie, na co arbiter główny najczęściej przymykał oczy (...) po absolutnie problematycznym faulu na polu karnym lublinian" podyktował rzut karny, co przesądziło o przegranej Motoru. Natomiast w sprawozdaniu z meczu Avia — Ursus przeczytałem, że mimo protestów zawodników Ursusa sędzia podyktował także rzut karny, co dało zwycięstwo Avii. Z tej decyzji, wyglądającej na analogiczną, sprawozdawca był naturalnie zadowolony.

●

Oddział Osobowy PKS w Puławach ogłosił w obu dziennikach lubelskich, że organizuje „w trybie przyśpieszonym" kurs dla kierowców, dodając, że przeszkolenie jednego kosztuje go 30 tys. zł — „go", to znaczy przedsiębiorstwo, bo kandydata nie. Z informacji telefonicznej wynika, że kurs trwa pół roku, w przeliczeniu okazuje się więc, że przeszkolenie jednego kierowcy kosztuje drożej niż wykształcenie studenta na wielu kierunkach. Ponieważ na kurs przyjmuje się dwadzieścia osób, z innego przeliczenia wynika, że na półroczny kurs (bez mieszkania i wyżywienia) puławska PKS wydaje 600 tys. zł. Samochód z rzędem temu, kto to zrozumie.

●

Zadziwiły mnie również olbrzymie ogłoszenia w obu dziennikach lubelskich, które ukazały się 19 maja, a w których Państwowy Terenowy Inspektor Sanitarny nr 1 w Lublinie informował, że w dniach 1—10 kwietnia odbędzie się przymusowe odszczurzanie Tatar i Bronowic, od 11 do 20 kwietnia Kalinowszczyzna, w dniach 21—30 kwietnia Starego Miasta i przyległego terenu, od 3 do 10 maja Czechowa, Wieniawy i Sławinka oraz od 11 do 20 maja LSM i Rur. Nie dziwię się więc, że lubelskie szczury mają się zupełnie dobrze i panu inspektorowi nr 1 życzą wszystkiego najlepszego.

●

„Chciałbym i ja pokazać przed światem — wyznaje Andrzej Sulikowski w „Studencie" nr 10 — a jeszcze bardziej przed samym sobą, że stać mnie naprawdę na coś wielkiego, że potrafię wyjść ponad mój egoizm, byłem tylko dostrzegł przed sobą jakąś wartość prawdziwą, porywającą, która przywoływałaby mnie ku sobie. Ale niestety, nic niezwykłego mnie nie spotyka, nikt nie żąda ode mnie niczego nadzwyczajnego poza przepracowaniem ośmiu godzin dziennie na mojej pierwszej, słabo płatnej posadzie". No to ja zaproponuję autorowi coś nadzwyczajnego (dla niego) niech się uważnie rozejrzy wokół to zobaczy, ile porywających rzeczy dzieje się w naszym kraju i gwarantuję mu, że jeżeli to dojrzy i weźmie w tym udział, z łatwością będzie mógł zamienić swoją słabo płatną posadę na zupełnie dobrze płatną. Np. w kopalni lub hucie.

JOD

KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Zdjęcie przedstawia: manifestację patriotyczną w nałęczowskiej Alei Lipowej, w której uczestniczyli mieszkańcy uzdrowiska oraz ludność okolicznych wsi. „Osoby udostępniające mi tę fotografię rozpoznają nieżyjących już uczestników, swych rodziców i sąsiadów, m. in. ze wsi Paulinów oraz Piotrowice Małe pod Nałęczowem" — informuje nadawca, znany malarz i grafik, przebywający niegdyś w Lublinie.

Data wykonania: 1917?
Autor:?
Nadawca: Hieronim Skurpski, Olsztyn, ul. Warmińska 13c/6.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

Tadeusz Chabros

OKRUCHY

Powtarzać nie tylko stare błędy, ale i stare sukcesy — to rzecz surowo zakazana.

Kobiety wcale nie pragną emancypacji. Pragną być kochane.

Jeśli chcesz się pozbyć natrętnego gościa, powiedz, że źle ci się powodzi i szukasz kogoś, kto chciałby ci pomóc.

Ci, którzy głoszą, że cierpienie uszlachetnia, nigdy nie cierpieli.

Ludzie podejmujący szybkie decyzje to tacy, którzy wiedzą albo bardzo wiele, albo nic.

Ave Victis. Nieprawda, ale to nie ja powiedziałem.

Trudność obiektywna — to oszustwo niemal doskonałe.

W pewnych kręgach inteligencji grę w bridża zastąpiło opowiadanie dowcipów. Smutne.

Szukam nazwy dla duszczyzny naszych czasów. Pomóżcie!

listy do kamery

SZALET POD ZAMKIEM

Dokonana dwa lata temu modernizacja skweru na lubelskim Podzamczu budzi dotąd nerwowe polemiki, ponieważ wynikła z tego dewastacja jedynego zakątka rekreacyjnego dzielnic staromiejskich. Prasa zapowiadała wówczas ogólnokrajową imprezę kwiatową na tym terenie. Już sam zamysł modernizacji zagospodarowanego terenu dla jednorazowej, czy też sezonowej imprezy nie budził zaufania do projektu. I choć zdawałoby się, że od pomysłu do jego realizacji odległość znaczna — pośpiech dopomógł i zawierzono „pomysłowcom". W tempie ticie podbramkowym usunięto dwudziestoletnie drzewa i krzewy, jakby w obawie, że będą nieodpowiednim tłem dla mających tu przybyć kwiatów. Gotowe już kwietniki przeorano razem ze ścieżkami.

Przewidziana impreza, jeśli nawet się odbyła, to przeszła niezauważona, bo kwiaty się nie pojawiły, a drzewa — niestety — już nie powróciły... Z dwupoziomowego skweru powstała rozległa równina z jedną wymyślną alejką, urządzoną kosztem kącików zabawowych dla dzieci i boiska. Jej pochyłość, rozwiązana niezbyt zauważalnymi schodkami na całej swej długości, nie uwzględnia teraz ani dziecięcych wózków, ani rowerków, ani nawet swobodnego biegania, i na tym głównie polega jej niefunkcjonalność. Bo to, że tradycyjne ławki z oparciem zostały zastąpione rzędem niskich taboretów — jest tylko niewygodą dla dorosłych, którzy w końcu nie muszą korzystać z tego, co im nie odpowiada. Toteż przestali korzystać, zwłaszcza ludzie starsi, mniej sprawni, którym pozycja odpoczynku nie jest obojętna. Taboretу te zresztą bardziej się przydały w pobliżu punktów sprzedaży piwa i wyrobów monopolowych. Poroznoszono je więc odpowiednio i stoją poczerniałe od ulicznego kurzu.

Z tego, co pozostało, najbardziej przydatna do rekreacji okazała się dobrze nasłoneczniona przestrzeń po usuniętych krzewach i kwietnikach, gdy tylko porosła trawą. Stanowiła jednakże pokaźną rezerwę terenu i postanowiono spożytkować ją na... miejski szalet. Wprawdzie tylko częściowo, ale wystarczy, by w ten sposób przekreślić do końca walory rekreacyjne tego terenu. Podwykonawca robót zakończył niedawno tzw. palowanie i żadna siła nie zdoła już „odpalować" tego pomysłu.

Nie oznacza to wcale, że tego rodzaju obiekt jest niepotrzebny w obrębie codziennych giełd samochodowych, sezonowych kiermaszy i wycieczek zwiedzających Zamek. Jednakże znany powszechnie i „nieuleczalny" stan sanitarny takich obiektów nie predystynuje ich do sytuowania na miejscu frontalnym.

UPODOBANIA

Zainteresowanie „starociami" trwa od dawna — po dzień dzisiejszy. Pamiętam, byłem młodym chłopcem, jak dziadek cieszył się orderem, który wytargował od swego przyjaciela — legionisty za jakiś stary obraz. Natomiast matka mojego szkolnego kolegi uwielbiała stare makatki i pieczołowicie przechowywała je w starej, dębowej skrzyni okutej miedzianymi ćwiekami. Stryjek mój bardzo szczycił się starymi skrzypcami, na których często wygrywał tkliwe melodie. Obecnie wielu moich znajomych szpera za starymi lampami — zegarami, samowarami, białą bronią i monetami. Mnie również interesują „starocie". Zbieram stare pisma i książki.

Ostatnio natrafiłem na utwory Jana Stachniuka, które podejmują walkę z „sielskością" i wegetacyjnością polskiego usposobienia". „Nowy typ kultury duchowej — pisze autor — musi się różnić zasadniczo od tego, co jest, więcej nawet, musi to, co istnieje, przezwyciężyć i wyrugować".

Tak pisał Stachniuk blisko 30 lat temu A dziś? Marek Grechuta śpiewa „Mickiewicza". Niemen „Norwida". Na domiar tego Zawieyski upiera się, że „Konrad nie chce zejść ze sceny". Natomiast „Kobieta i życie" pisze, że ubiory modne są w stylu neoklasycznym.

I jak tu zmienić „usposobienie" człowieka? Wprawdzie na stróża mówimy dozorca, szofera nazywamy kierowca, służąca — pomocą domową, ale wydaje mi się, że to niewiele unowocześnia nasze upodobania.

Stanisław Wiktor Sterlus
Kodeniec

POMYŁKA

W czwartek, 6 maja br., Telewizja Polska w programie I emitowała krótki film pt. „Towarzysze broni". Jeden z jego bohaterów wspominając rok 1944, stwierdził mimochodem, że przewodniczącym PKWN* był Bolesław Bierut. Nie jest to zgodne z prawdą, ponieważ — jak powszechnie istotna była wiadomo — PKWN-ową przewodniczył Edward Osóbka-Morawski. B. Bierut, późniejszy prezydent, był w tym czasie przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej.

Film był sympatyczny, traktował o żołnierzach przyszłości, szkoda więc, że znalazł się w nim taki błąd.

Józef Kopieczny
Puławy

JAROSŁAW!

Poprzedni numer „Kameny" przyniósł kilka zniekształceń. Przepraszamy zainteresowanych i wszystkich czytelników.

Po pierwsze: autorem wiersza pt. „Spotrzenie" na str. 8—9 jest nie Janusz, ale JAROSŁAW KAZBERUK.

Po drugie: W artykule na str. 2 pt. „Daleko od... ziemi obiecanej" pierwsze zdanie w ostatnim akapicie powinno brzmieć prawidłowo: „Na zakończenie III MFF odbyła się konferencja prasowa, na której obecni na imprezie dziennikarze, reżyserzy, aktorzy sformułowali wiele zarzutów pod adresem organizatorów, gdy chodzi o organizacyjną stronę całego przedsięwzięcia".

Po trzecie: W artykule pt. „Rozpoczynamy dziesięciolatkę" dwa przedostatnie zdania w pierwszej szpalcie na str. 5 powinny, oczywiście, brzmieć: „W tym modelu jak ulał mieści się znajomość — obok rosyjskiego — przynajmniej jednego z trzech podstawowych języków zachodnioeuropejskich. Tak, żeby absolwent potrafił porozumieć się po francusku z rodowitym Francuzem lub po angielsku z Anglikiem itd."

Z TEKI KAZIMIERY PALUCHINIAK

Mieczysław Jastrun

Stanisław Grochowiak

MOWY DO MINISTRA

Dokończenie ze str. 8—9

jest (obok wyrównania szans) także stworzenie warunków, aby wybić się mogli najlepsi, najzdolniejsi (dlatego na przykład laureaci olimpiad i konkursów na szczeblu centralnym mają w nowym systemie zapewnione studia bezpośrednio po skończeniu dziesięciolatki). Socjalizm automatycznie nie gwarantuje każdemu osobistego szczęścia oraz najwyższych osiągnięć życiowych, stwarza natomiast dla wszystkich równą szansę zdobycia tej szczęśliwości i tych osiągnięć. Taki też jest charakter nowej szkoły. I słusznie stwierdził red. Machejek: „... masowe wyższe wykształcenie nie zawsze daje pożądane rezultaty, jakie mogłoby dać wykształcenie ludzi selekcjonowanych na drodze studyjnej. Niestety, wyniki tej selekcji są lepsze, owocniejsze w zaawansowanych krajach kapitalistycznych. Niezbędna jest konkurencja intelektualna. Po co ciągnąć za uszy, na siłę, w nieskończoność".

Posypało się trochę pod adresem resortu (nie tylko zresztą samej oświaty): „Młode kadry nauczycielskie są właściwie coraz gorsze. Obserwujemy pewną deprecjację zawodu nauczycielskiego wynikającą nie tylko z gorszych warunków materialnych... Prosiłbym pana ministra o informację, co Ministerstwo zamierza zrobić, żeby podnieść autorytet nauczyciela" (Maciąg); że wymiar pracy fizycznej za wielki i nierealny w nowym programie (tak jest i nikt mnie nie przekona, iż w najbliższej przyszłości uporamy się z kwestią tzw. frontu robót dla uczniów, aczkolwiek to nasza wina, dorosłych); że z opieką przedszkolną nadal nie najweselej (z czym minister Kuberski się zgodził)...

Z wypowiedzi ministra: „W dzisiejszej gminie agronom posiada wyższe wykształcenie, weterynarz, aptekarz, lekarz i ksiądz, a nauczyciel nie. Pierwszym krokiem w walce o autorytet nauczyciela jest podniesienie jego kwalifikacji poprzez uzupełnienie wykształcenia do poziomu studiów wyższych... Pytanie o autorytet musi odnosić się do kwalifikacji, do pozycji materialnej, którego to problemu bym nie umniejszał... Niezupełnie podzielam pogląd, że studia polonistyczne mają być podzielone na nauczycielskie i nienauczycielskie (wreszcie ktoś głośno to powiedział! — WK). Tu uwidacznia się już pejoratywny element problemu, dzielący kandydatów na uczonych i ludzi od stania z kredą przy tablicy szkolnej..."

Wojciech Kurhan

Krzyżówka (nr 11)

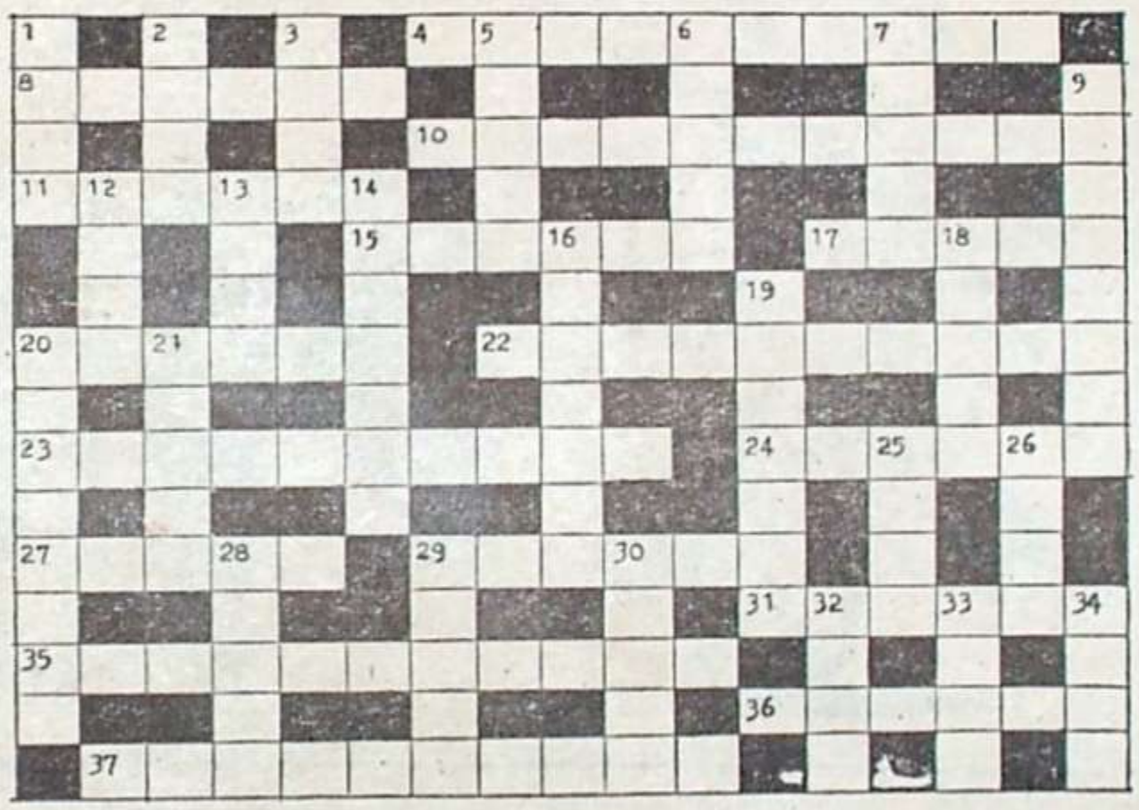

Poziomo 4. bohater powieści, za którą 10 poziomo otrzymał Nagrodę Nobla, 8. pseudonim jej autora, 10. pisarz polski, którego 130-lecie urodzin i 60-lecie śmierci przypada w tym roku, 11. wskazuje północ, 15. opiekun, 17. odznaczenie, 20. brak oznak zdenerwowania, 22. bohater pierwszej części Trylogii 10 poziomo, 23. tytułowi bohaterowie powieści współczesnej tego autora, 24. ruchy ciała w takt muzyki, 27. półka na książki, 29. dowódca małego statku, 31. filmowy posiadacz kapelusza, 35. ciepłota, 36. bohater „Potopu", 37. rycerz z „Ogniem i mieczem".

Pionowo: 1. dużo załączników, 2. drobina, 3. strój sędziowski, 5. państwo arabskie w Afryce, 6. pisarz — piewca Tatr i Podhala, 7. dzieło, 9. miesiąc, 12 ziemna fortyfikacja, 13. ogród spacerowy, 14. część mowy, 16. przywódca powstania antyhabsburskiego na Węgrzech, 18. materiał stolarza, 19. czytanie, 20. odwrotność manka, 21. nieuprawiana ziemia, 25. rzeka Kielecczyzny, 26. odbicie fal głosowych, 28. węgierski Piast, 29. zdarta z głowy skóra z włosami, 30. rozbójnik morski, 32. kapitan Nautilusa, 33. karmienie zwierząt na mięso, 34. brat Czecha i Rusa.

Rozwiązania można nadysłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231, 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 9.

Poziomo: występ, ugór, sukurs, sól, Ełk, głaz, ryps, aura, eter, luz, Azja, Kazimierz, kopalnia, kładka, osa, Edward, Ob pa, ar, udo, łup, przyśpieszenie, dzik, kalina, dysk, karo, bark, rzut, jar, Poprad, Raba, offset.

Pionowo: wrzask, Tuła, pszenica, ul. refleks skrzypce, kopa, szkapa, Gruzja frazes, szansa, karzeł, do, deszcz, dzieje, wyraz opalizacja, Bar, krupnik, stop, oświata, rekord, srebro, drop, Kair, dryf, kret, Ur.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 9 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Bożena Kuzaka, 21-500 Biała Podl. ul. Sidorska 16 m. 11; Tadeusz Buchoski, 17-100 Bielsk Podlaski, ul. Czwartaków 4; Czesław Jabłoński, 20-458 Lublin, ul. M. Reja 48; Kazimierz Tomaszewski, 21-040 Świdnik, ul. Kopernika 6/9.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1376. 14.05.76

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 Nr indeksu: 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Czas. 2552/1976/11

OPOWIEŚĆ KRYMINALNA

Tysiąc złotych

Uczciwie mówię, że tę historyjkę opowiedział mi mój przyjaciel, Mariusz H. Ja ją tylko nieco ubarwiłem, aby była bardziej strawna dla czytelników. Oczywiście Mariusz ma u mnie butelkę koniaku. Świnia nie jestem — razem ją opróżnimy!

* * *

PANI Irena ubierała się szybko. Za godzinę odchodził pociąg pośpieszny do Warszawy, a tu jeszcze tyle rzeczy w domu było do zrobienia. Jakoś się ze wszystkim uporała i kiedy zamykała drzwi wejściowe usłyszała głos męża:

— I nie zapomnij przywieźć mi paczki żyletek angielskich. U nas nigdzie nie mogę dostać.

— Dobrze, dobrze. Masz taki zarost, że mógłbyś się w ogóle nie golić — burknęła z korytarza, ale on przewrócił się już na drugi bok i spał jak suseł.

Dzisiaj wyjątkowo nie było tłoku. Znalazła wolny przedział i zajęła miejsce koło okna. Pociąg już ruszał, gdy naprzeciwko niej usiadła sympatyczna pani w okularach. Przez kilkanaście minut przeglądała „Przekrój", a tymczasem pani Irena zagłębiła się w lekturze tygodnika „Prawo i Życie". Pasjonowały ją sprawy kryminalne, niekiedy żałowała, że nie mogła ukończyć prawa. Gdyby inaczej ułożyły się jej losy, teraz pracowałaby w sądzie, w prokuraturze czy w milicji. Zamiast podawać znudzonemu szefowi kawę i stukać różne pisemka na maszynie, ścigałaby lub karała przestępców. To dopiero byłoby ciekawe życie!

— Znalazła pani coś szczególnie ciekawego? — Towarzyszka podróży pierwsza przerwała milczenie.

— Nie... Takie codzienne sprawy.

— Ja bardzo chętnie czytam w „Przekroju" Falkowską. W życiu zdarzają się historie, jakich nie można znaleźć w powieściach. Taki Kibic na przykład w „Kulisach"! Czego on nie wygrzebie!

Pociąg zaczął trząść coraz bardziej, pani Irenie litery skakały przed oczyma. Odłożyła więc tygodnik i po chwili obie panie rozmawiały jak stare znajome.

W pewnym momencie pani Irena musiała na chwilę opuścić przedział. Zwykła rzecz. Zwróciła się z prośbą:

— Niech pani będzie taka uprzejma i popatrzy na mój neseser...

— Ależ chętnie...

Wróciła po kilku minutach i dalej toczyła się towarzyska konwersacja. Pani, jak się przedstawiła z imienia, Ewa opowiadała o swej ostatniej wycieczce do Budapesztu i drobnych perypetiach z celnikami. Pani Irena słuchała uważnie. Spostrzegła, że pani Ewa jest bardzo dyskretna jeśli chodzi o sprawy czysto zawodowe. Sama zaostrzyła więc czujność i też postanowiła się nie zdradzać.

Było już blisko Warszawy, końcowego etapu podróży, gdy teraz z kolei pani Ewa poszła w ustronne miejsce, zwracając się uprzednio z analogiczną prośbą do swej vis a vis.

Panią Irenę coś tknęło. Szybko otworzyła neseser i zbladła. Tysiączłotowy banknot z Kopernikiem, który wieczorem wzięła od męża, zniknął jak kamfora.

Naprzeciwko wisiała torba pani Ewy. Nie namyślając się długo, pani Irena sięgnęła do jej wnętrza. Na samym wierzchu leżał niebieski banknot z Kopernikiem. „Mam cię, złodziejko! — pomyślała i szybko przełożyła bilet NBP do swojej torby. — Taka sympatyczna! Kto by przypuszczał? I jak tu ludziom ufać?".

Kiedy wróciła pani Ewa, pociąg wjeżdżał już na dworzec warszawski.

— No cóż, musimy się rozstać, a tak się nam przyjemnie jechało!

„Przyjemnie" — pomyślała pani Irena, głośno zaś powiedziała:

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy. — I uśmiechnęła się znacząco.

Cały dzień łaziła po stolicy, odwiedziła znajomych, nie miała zresztą wiele do roboty, bo pieniądze upłynniła szybko.

Późnym wieczorem była w domu. Zadowolona, bo kupiła kilka drobiazgów, których bezskutecznie poszukiwała w swym rodzinnym mieście.

— Ale ty jesteś roztargniona! — powitał ją mąż.

— Dlaczego się mnie czepiasz? — obruszyła się. — Przywiozłam ci te żyletki. Bardzo drogie. Nie możesz się golić polskimi?

— Przywiozłaś? O, widzę, że moja żona ma zaskórniaki!

— O co ci chodzi? Nie rozumiem.

— Jak to o co? Dałem ci tysiąc złotych, a ty je zostawiłaś na stole. Zapominalska!

Pani Irenie zaczęły się trząść ręce.

— Złodziejka, złodziejka jestem! — zaczęła krzyczeć histerycznie.

Mąż spoglądał na nią z przerażeniem.

— Dzwonić po pogotowie?

* * *

Lekturę „Przekroju" z Falkowską oraz lekturę „Prawa i Życia", polecam dalej. Niech się jednak kończy na samej lekturze. Milicja, sąd, prokuratura też muszą mieć coś do roboty. Prawda, pani Ireno?

MAJ

RYSUNKI ZYGMUNTA STANISŁAWA PYTLIKA

bez tytułu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

— 8 —

Wylew słów Branntweiterowej można właściwie streścić w kilku zdaniach. Rudnicki — z uwagi na swoją ostatnią przeszłość, oderwany od polskiej rzeczywistości — chciał najpierw zasięgnąć języka. A ponieważ wiedział że jego dawna koleżanka nie należy do ludzi milczących, dlatego też wolał najpierw usłyszeć jej opinie. Brzmiało to w miarę przekonywająco, zresztą Branntweiterowa dodała, że gość zjawi się jutro u nich w domu i będzie dość czasu na szczegółowe rozmowy.

*

Ale nam czas wrócić do Zygmunta, z którym rozstaliśmy się w trolejbusie (patrz odcinek trzeci). Z Elżbietą spotkał się dopiero po miesiącu od czasu tamtego wypadu do Nałęczowa.

Elżbieta grała na zwłokę. Czekała, jaka będzie decyzja Ryszarda, zwłaszcza, że w czasie ostatniego spotkania obiecał, a przynajmniej dał do zrozumienia, że gotów się rozwieść z żoną i ją poślubić. Ale Ryszard, mimo że od tamtego czasu widzieli się dwukrotnie, nie wracał do tego tematu, natomiast dużo mówił o przyjeździe swego starego kolegi, z którym zresztą spędzał długie godziny. Ona sama, z natury ambitna, nie próbowała się narzucać. Uważała jednak, że w tej niepewnej sytuacji nie powinna angażować się i jeszcze bardziej przyzwyczajać do Zygmunta, którego zresztą — chociażby z uwagi na różnicę wieku — nie traktowała poważnie. Nie wierzyła by jego uczucie mogło być prawdziwe.

Tymczasem Zygmunt po rozmowie z Jurkiem czuł, że w całej tej historii kryje się jakaś tajemnica. Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy bezskutecznie czekał na telefon od Elżbiety. Gdy raz spotkał się z nią prawie przypadkowo (to znaczy udał, że to był przypadek, faktycznie od dwóch godzin czekał na nią przed jej domem), ona zasłoniła się nauką i szybko go pożegnała. Do decydującej rozmowy nie doszło. A sam Jurek od tamtego czasu również nie puszczał farby, sprawiał nawet wrażenie, jakby wówczas, w trolejbusie, nic się nie zdarzyło.

I teraz miejsce spotkania: bistro „Maleńki". Dialog:

Zygmunt: — Elu, tak dalej być nie może. Dlaczego mnie unikasz? Wydawało mi się, że dobrze nam razem.

Elżbieta: — Tak, Zygmunt, ale to wszystko nie ma przecież najmniejszego sensu.

Zygmunt: — Co nie ma sensu? Nasza miłość? Wiesz dobrze, że cały mój świat to ty. Tylko ty.

Elżbieta: — Głuptasie...

Zygmunt: — Elu, proszę cię, powiedz mi — masz kogoś?

Elżbieta: — ... Nie... Teraz nie...

Zygmunt: Teraz nie, ale przedtem... Ja przecież nic właściwie nie wiem o tobie. I przestań mnie traktować jak dziecko.

Elżbieta: — Nie traktuję cię przecież jak dziecko!

Zygmunt: Dzisiaj, kiedy mnie zobaczyłaś, przeszłaś na drugą stronę ulicy. Ale ja postanowiłem, że wreszcie musimy porozmawiać. Jeszcze raz ciebie pytam: masz kogoś?

Elżbieta: — To już przeszłość...

Zygmunt: — Kim on jest, kim na litość boską? Okłamywałaś mnie!

Elżbieta: Nie. Każdy ma jednak pewne tajemnice.

Zygmunt: — Nie mogę uwierzyć, że tak nam było dobrze wtedy w Nałęczowie. Byłaś cała moja.

Elżbieta: — Ale i wtedy ci wspominałam o tych czterech latach różnicy między nami...

Zygmunt: — Tak, to prawda... — I po chwili milczenia, nagle, niespodziewanie, głośno: — Znasz Jurka Branntweitera?

Elżbieta: — Jurka...

Zygmunt: — Jurka. To mój kolega ze szkoły.

Elżbieta: — Wiesz co, Zygmunt... Chodźmy już stąd. Bardzo cię proszę.

Zygmunt: — Nigdzie nie pójdę. Muszę znać całą prawdę. Spotykasz się z Jurkiem?

Elżbieta: — Z Jurkiem? Chyba żartujesz?

Zygmunt: — Ale znasz go, musisz go znać, widzę to po twoich oczach.

Elżbieta: — Ze słyszenia...

Zygmunt: — Kto ci o nim mówił? No kto?

Elżbieta: — Zachowujesz się jak prokurator. Ale chcesz wiedzieć? Proszę uprzejmie. Wspomniał mi o nim jego ojciec.

Zygmunt: — Znasz starego Branntweitera?

Elżbieta: — Znam. Dlaczego jednak „starego"?

Zygmunt: — Przecież to wapniak!

Elżbieta: — Ale, z tych przystojnych wapniaków...

Zygmunt: — Elżbieta, nie żartuj! Ja dłużej nie wytrzymam.

Elżbieta: — Uspokój się. Po co się denerwujesz?

Zygmunt: — Dobrze ci mówię. Gdybyś była na moim miejscu... Zrozum, jesteś moją pierwszą dziewczyną. Pierwszą!

Elżbieta: — A jakie to ma znaczenie?

Zygmunt: — Przecież ty niczego nie rozumiesz. Kocham ciebie. Słyszysz? Kocham!

Elżbieta: — Zdaje ci się tylko.

Zygmunt: — Nie. Jestem tego pewny. I pamiętaj: nikomu, ale to nikomu ciebie nie oddam. Będę walczył o ciebie. Zamorduję każdego, kto się do ciebie zbliży!

Elżbieta: — Czy to jest groźba?

(cdn)

Dziś wybraliśmy — utrzymaną w nieco innej konwencji — propozycję Janiny Górskiej z Lublina, choć rozpatrywaliśmy m. in. również odcinek nadesłany nam przez Grażynę Maśkę z Lublina. Wydało nam się jednak, że czas wrócić do Elżbiety i Zygmunta. Co będzie dalej z tą znajomością? Co będzie z Ryszardem, ojcem Jurka? Czekamy na propozycje naszych czytelników. Termin ostateczny: 4 czerwca. (Adres — str. 15), „Powieść czytelników" — prosimy zaznaczyć na kopercie